

ROCZNIK II. **1869.** ZESZYT VII.

OJCIEC NIKON.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

PRZEZ

T. T. J.

(CIĄG DALSZY.)

VII.

Wysłaniec.

Biskup Krasiński — on to był bowiem przebrany za doktora — był dobrym Polakiem, tego mu zaprzeczyć nie można. Stanowisko, jakie zajął, było stanowiskiem tak dziś zwanej utylitarnej polityki, usiłującej sprawę polską związać z istniejącym rzeczy porządkiem. Dla polityków tego rodzaju dziś jest przyszłością. Po za „dziś“ nie wybiegają oni okiem naprzód; nie pytają się, czy istniejący porządek ma warunki bytu na jutro? czy odpowiada on potrzebom ludzkości? czy jest godziwym, uczciwym?... Dość, że jest. Nie przykładają oni ucha do tentu człowieczeństwa; czy nie pragnie ono czego? czy nie garnie się do jakiego ideału?... O! ideały... Precz z niemi!... Ludzie praktyczni nie wdają się w takie dziecińnstwa...

Biskup kamieniecki należał do rodzaju ludzi praktycznych. Stał on pośrodku pomiędzy entuzjastą Sołtykiem, który wierzył w siebie, a entuzjastą Puławskim, który wierzył w naród.

Prawda, że wiara jednego i drugiego była ślepą. — Krasiński miał rozum.

Widział on Polskę w stanie prostracyi — dziwnego omdlenia, które czyniło ją do niczego. Widział ją otoczoną dybiącymi na nią wrogami. Wiedział, że do uratowania jej potrzebne są środki heroiczne, nie żadne specyfiki, z jakiemi się podówczas noszono i jako uniwersalne lekarstwa zalecano, jak dziś ową sławną „organiczną pracę“, mającą tę szczególną i w swoim rodzaju ciekawą właściwość, że organizm zbolały ma do zdrowia przywrócić... za pomocą leczenia każdego członka z osobna. Wiedział on, że zniesienie *liberum veto*, zaprowadzenie dziedzicznego tronu, odebranie hetmanom władzy, równouprawnienie wyznań i inne sprawiedliwe i piękne propozycye, do poprawy Rzeczypospolitej dążące, były propozycyami sprawiedliwemi i pięknemi, lecz spoźnionemi. Moskwa przez Piotra Wielkiego natchniona, Prusy przez Fryderyka Wielkiego prowadzone, Austrya tradycyą podstępnych zaborów i wcielań na wskróś przesiąkła nie na to z Polską sąsiadowały, ażeby jej dać czas poprawić się i powoli, rozmyślnie przyjść do odzyskania zdrowia, któreby jej dało siły groźne Moskwie, Prusom i Austryi. Zmowa ich płynęła z natury rzeczy i była tylko kwestyą czasu: zbliżała się groźna, nieubłagana, i odwrócona być nie mogąca siłami samej Polski, które były w stanie zupełnego rozprzężenia. A czas naglił. Jedyną deskę zbawienia upatrywał Krasiński w wynalezieniu takiego wyrazu zaklęcia, któryby na straży Polski postawił niezgodę jej wrogów.

Takim wyrazem wydał mu się katolicyzm.

Z jednej strony była Moskwa szyzmatycka — sama; z drugiej Prusy protestanckie — same; z trzeciej Austrya katolicka — a za nią Francja i reszta Europy, oblanej blaskiem bijącym od tronu Chrystusowego namiestnika.

Krasińskiemu się wydawało, że kiedy rzuci w Europie okrzyk trwogi: „Polska katolicka ginie!"—to katolickie dwory pospieszą na ratowanie nie Polski, lecz katolicyzmu. Złudzeniu temu tem łatwiej uległ, że w tej kombinacyi widział Turcyę, którą katolicyzm nie obchodził wprawdzie, lecz wzrost Moskwy niepokoił. Więc dawał jej rolę podniety i kontrolora katolickich dworów.

Jemu się wydawało, że Turcya z interesu, a katolicka Europa w imię wiary wpłyną do Polski, jak przypływ oceanu, odrzucą Moskwę i Prusy wstecz i ustąpią, zostawiając po sobie narodowi zarody zdrowia, w istniejącym porządku rzeczy tkwiące, które będą miały czas rozrość się i rozwinąć.

Łudził się.

Łudził się najprzód tem, że istniejący porządek — owo przyszłościowe „dziś" — brał za zdrowie; — a to „dziś" było obrzydliwą chorobą.

Łudził się następnie tem, że wyrazowi „katolicyzm" przypisywał potęgę zaklęcia; a ten wyraz służył już tylko jak prawnicze formułki, do procesowych wybiegów używane.

Łudził się nakoniec tem, ze na Turcyę liczył; — a dla Turcyi potężna Polska groźniejszą była, aniżeli potężna Moskwa.

W summie czynów spełnionych — inaczej — w istniejącym rzeczy porządku nie było dla Polski ani wewnątrz, ani zewnątrz ratunku. On go jednakże szukał.

Krasiński, biskup kamieniecki, jest prototypem polityków naszych, liczących na obcą pomoc, a nic zwracających uwagi na ideały, świtające jak zarania na horyzoncie ludzkości.

Ideały?! On nic przeciwko nim nie miał; uznawał ich piękność; lecz odpowiadał na nie uśmiechem politowania. Ideały!... On nie posiadał w duszy tej iskierki, co człowieka jasnowidzem czyni; nie przeczuwał, że w bliskiej przyszłości ideały brzękną w oręż i upomną się o prawo rzeczywistego bytu.

Ale... — powróćmy do toku powieściowego opowiadania. To co powyżej o Krasińskim powiedziałem, nie jest bynajmniej przypadkowo wtrąconym epizodem. Rozmowa kamienieckiego biskupa z olchowieckim popem nie jest „wymysłem". To co ojciec Nikon powiedział, przebija się w naszej historyi w taki mniej więcej sposób, jak na powierzchnią pewnych wód wydobywają się gazy w postaci bąbelków, świadczących, że natura owych wód nie jest taką, za jaką ją ludzie biorą. Za czasów wojen Chmielnickiego cały wyższy kler prawosławnego duchowieństwa, z kijowskim metropolitą na czele, myślał i mówił to samo. Jak owe gazowe bąbelki na wodzie świadczył on, że Polska nie jest tem, za co ją ludzie biorą, nie jest wyłącznie katolicką. Lecz o chemicznej analizie nikt nie myślał, a chociaż kto tam i myślał, to nikt zrobić jej, nikt stosownie zużytkować nie umiał. Nad Polską niekatolicką rozwijał się katolicki sztandar i migotliwą błyskotliwością swoją oślepiał, olśniewał tych nawet, co w naród wierzyli i mieli przeto największą potrzebę poznać dokładnie i znać — że się tak wyrażę — na palcach skład onego.

Człowiekiem, wierzącym w naród, był starosta warecki.

W co on wierzył? — w naród. Na to innej nie ma odpowiedzi.

Pan Józef Puławski był spółpracownikiem biskupa kamienieckiego i przynosił do spółki kapitał ślepej wiary, która, jako ślepa, musiała w pewnych względach ulegać wpływowi kombinacyjnego rozumu.

„Pomiędzy ślepymi — powiadają — jednooki jest królem". Jednookość Krasińskiego na tem zależała, że jedną rzecz widział jasno, a mianowicie: że sprawa polska jest europejską. To było prawdą; ale też prawda na tem się zaczynała i kończyła. Sprawa polska obchodziła zarówno Polaków, jak każdy naród, nawet najdalej, za Pireneami, w Apeninach, czy u podnóża Olympu zamieszkały, ale naród, nie dwór, a Krasiński narodów dojrzeć nie był w stanie. Kombinacye przeto swoje opierał nie na potrzebach narodów, lecz na widokach dworów — i łudził się. Pozory brał za rzeczywistość, przechodowość za trwałośść, dziś za jutro, i swego złudzenia udzielał panu Puławskiemu, który złudzenie czuł w głębi duszy swojej, niby rozpalonego kawał żelaza na wnętrznościach, a nie mógł go ztamtąd wyrwać.

Byłby wolał o tych wszystkich kombinacyach, w które go biskup wtajemniczał, wcale nic nie wiedzieć.

— Byłbym już dotychczas wsiadł Moskalom na karki — powiadał.

Ale Krasiński, jak to mówią, ujmował go za serce. Widział w nim człowieka, który to, co mówił słowem, popierał czynem, nie jak Mokronowski, co póty się nastawiał, póki się jeneralstwa i królewskich względów nie dobił. Krasińskiego wysokie dostojeństwo w kościele, bardziej aniżeli Mokronowskiego, upoważniało do dbałości o własną osobę. A on przecie nie oszczędzał siebie. Jak była tego potrzeba, zrzucał biskupie fiolety, przebierał się bądź za lekarza, bądź za pruskiego remontiera, i narażał się na tysiące niebezpieczeństw. To dla niego Puławskiego ujmowało i pod jego kierunek go poddawało, ale nie bez pewnych restrykcyi i warunków. Starosta warecki nie przyjmował rozkazów nieumotywowanych. Chciał wszystko wiedzieć: *per quam et quo modo.*

— Rozwieś sztandar katolicki.

— Dla czego?

— Dla tego, że Moskwa jest szyzmatycką, a Prusy protestanckiemi.

— *Capisco...*

Pragnął dla Moskwy wszystko wrogiem w Polsce zrobić, ludzi, żywioły, ideje. Gdyby więc Polska za katolicką nie uchodziła była w świecie, on by ją był gotów katolicką ogłosić dla tego tylko, że Moskwa występowała jako orędowniczka prawosławia. Nie wchodził w to, jakiemi były powody i jakim był cel jej występowania; nikt mu nie powiedział, że aby zniszczyć owe powody i zwichnąć ów cel, należało usunąć pretekst: więc przyjął sztandar.

Drugi rozkaz był następującej treści:

— Trzeba czekać na obcą pomoc...

Na to już starosta warecki nie chciał w zupełności przystać, a to dla tego, że nie zgadzał się, ażeby obcy wszystko za Polaków robić mieli. Uznawał użyteczność pomocy, lecz rozumiał ją w znaczeniu dodatku do własnych usiłowań.

— Niech przyjdą... i owszem... — powiadał — Niemcy, Francuzi... niech papież krucyatę przeciwko moskiewskiej szyzmie ogłosi, ale my w tej krucyacie w pierwszych iść powinniśmy szeregach.

Rozkaz ten przeto został przez niego o tyle zmodyfikowany, że równocześnie będą się dwie prowadziły roboty: starania o przymierze zagranicznych dworów i przygotowania do konfederacyi.

Na tem tedy stanęło. Biskup udał się osobiście za granicę; Puławski pozostał w kraju i prowadził układy z mocarzami wewnętrzymi.

Zadanie, jakie wziął na siebie, nie było łatwem do spełnienia. Pole do działania przedstawiało się mu na dwóch teatrach: na magnackim i na szlacheckim — i na obydwóch zachodziły ogromne trudności.

Magnaterya przesiąknięta była na wskróś prywatą, podszytą wszystkiemi grzechami, jakie tylko człowiek, niepotrzebujący kraść i rozbijać, skupić w sobie może. Każdy z osobna własną osobistość robił środkowym punktem sprawy ojczystej i dobierał sposobów, jakie mu się najodpowiedniejszemi po temu wydawały. Przykład szedł od króla, dla którego łożnica Katarzyny była szczeblem, z którego wprost wstąpił na tron. Tego rodzaju pokierowanie się było zachęcającem. Nie jednemu zamarzyło się próbować szczęścia, nie koniecznie w tym celu, żeby zostać królem, i niekoniecznie tą samą drogą, którą poszedł były stolnik litewski, lecz w celu i drogą zbliżającemi się do królewskich moralnem podobieństwem, będącemi jednego i tego samego rodzaju. Moralność przeto odrzuconą została precz, pomiędzy stare a bezużyteczne graty, i po nad wszystkiem zagórowało królewskie „ja". Każdy magnat i magnacik starał się być królem w miniaturze, modyfikując swoją królewskość stosownie do własnych gustów, usposobień i temperamentu.

Z pomiędzy tych królików trzeba było jednego wybrać i na czele konfederacyi postawić, trzeba było jednego z nich zrobić wcieleniem wielkiej idei odrodzenia ojczyzny, którą Puławski w stanie przeczucia nosił w duszy.

Trzeba było jednego z magnatów postawić na czele, bo szlachta — konfederacki kontyngens — nie rozumiała idei czystej. Za nadto była ciemna, za zbyt znarowiona i w zupełnem pozostawała rozprzężeniu. Ażeby ją skupić, potrzebnym był kieliszek, ażeby ją poprowadzić, potrzebnym był magnat. Był to polityczny trup, ruszający się za pomocą galwanizowania, do którego elementa znajdowały się w trunkach i wielkich imionach.

Oto były trudności, z jakiemi na wstępie łamać się musiał przyszły regimentarz konfederacki, natchniony szlachcic, który kochał i wierzył.

Kochał ojczyznę i wierzył w naród. Miłość i wiara wypchnęły go z tłumu na wierzch, ale nie tak wysoko, ażeby mógł być widnym na całą Polskę.

Jak powiedziałem wyżej, wiara jego była ślepą. Ślepota ta na tem zależała, iż nie umiał sobie wytłumaczyć głębokiego przekonania o posłannictwie, jakie ma Polska w ludzkości. Widział on dobrze słabe strony narodu, lecz przekonanie o posłannictwie dawało mu wiarę w siłę. Pierwsze brał jako rozkazanie boże i z niego wyprowadzał drugie, bo nie mógł przypuścić, ażeby Bóg, wyznaczywszy narodowi polskiemu służbę śród narodów, nie dał mu do spełnienia tej służby odpowiednich środków. Więc środków tych szukał.

I zadrżał drzeniem radości, gdy nagle postrzegł jedną, w ówczesnym szlacheckiego społeczeństwa stanie nową rzecz. Moskiewskie gwałty oburzyły szlachtę.

— *Victoria!* — zawołał.

Wyraz ten wymówił w jednej z komnat zamku, w którym zamieszkiwał jeden z magnackich dziwolągów, podobny... diabli wiedzą do czego. Zamek wznosił się na stromem wzgórzu, wciskającym się pomiędzy dwie ściany wąwozu, na dnie którego płynęła rzeczka. U stóp zamkowego wzgórza wąwóz rozszerzał się nieco i formował nieszeroką płaszczyznę, zajętą żydowskiemi domami i sklepikami. Jedna ze ścian wąwozu zajętą była przez pomniejsze domki, wspinające się do połowy wysokości i wyglądające z daleka jak gniazdo jaskólcze, na drugiej łagodniejszą przedstawiającej pochyłość, widać było zabudowania klasztorne i wieże kościelne. Na dole, z pomiędzy niezgrabnych żydowskich domostw, wyskakiwało do góry architektoniczne arcydzieło, w postaci lekkiej i zgrabnej wieżyczki. Przez rzeczkę rzucony był drewniany most. Grzbiet pochyłości, po nad małemi domkami, wyglądał nago, zaś po nad klasztorem, po pod sam prawie szczyt, ciągnęły się owocowe ogrody, spodem których szły długim szeregiem schludne dworeczki, oddzielone od rzeki wysadzoną lipami ulicą. Bliżej mostu rosły topole. Wszystko to, razem wzięte, przedstawiało obrazek niepospolitej piękności.

W jednej z komnat zamkowych, wychodzących na

urwiska, przed oknem stał Józef Puławski i błądził okiem po rozlegającym się widoku. Jesień ogołociła drzewa z liści i odbierała widokowi okrasę zieleni. Grudniowy wiatr napędzał ołowiane chmury, posępny cień rzucające. Stada kawek i gawronów z krzykiem tłumiły się nad wynioślejszemi drzewami i wieżami. Widok więc był posępny, nawodzący na duszę mimowolnie uczucie smutku i tęsknoty. Pomimo to Puławski spoglądał z uśmiechem zadowolnienia i od czasu do czasu wpadał w zamyślenie, z którego wychodził na to, ażeby na palcach rachować. Rachował i wymawiał wyrazy, które były nazwami województw, powiatów i ziem.

W komnacie oprócz niego nie było więcej nikogo, a stojący po środku stół zawalony był zapisanemi, wpółzapisanemi i czystemi papierami. Niektóre z zapisanych papierów tak wyglądały, jakby tylko co wyszły z pod pióra. Snadź starosta pisał przed chwilą i wstał, ażeby stan kości rozprostować.

Józef Puławski nie imponował ani postawą, ani urodą. Na zewnątrz nie odznaczało go nic, i trzeba mu się było dobrze przypatrzeć, ażeby w oczach dostrzedz coś, co oznaczało zarazem odwagę, determinacyę i siłę woli. Na twarzy nosił znaki wieku i pracy. Bo też sześć z górą krzyżyków dźwigał na grzbiecie i młodociane lata spędził w palestrze, gdzie nie trawił czasu na próżno. Sposobił się nie w widokach uzyskania kiedyś *panem bene merentium*, lecz do służby ojczyznie. Kiedy przeto dostały się mu kolejno: konsyliarstwo radomskie, pisarstwo koronne i w ostatku starostwo, które mu pozwalało odetchnąć po trudach pracowitego żywota, kiedy został panem kilku włości i mógł żyć spokojnie i wygodnie, nie spoczął. Szedł wciąż dalej i dalej, w pracy, jak w pługu, orał ojczystą rolę pod posiew ziarn, któreby odrodzeniem strzeliły. I doczekał się pożądanej chwili. Szlachta oburzyła się na Moskali.

Postrzegłszy to, postrzeżenie to przyjął jak zaranie lepszej przyszłości. Gdy przed miesiącem rozstawał się z Krasińskim, rzucił mu na pożegnanie wyrazy:

— *Nil desperandum*, mości biskupie... Rób waszmość swoje, a ja szlachtę wysztурcham w pole; tylko nie zwlekaj, bo żelazo kuć można póty tylko, póki jest gorące...

Lękał się, ażeby oburzenie nie przeminęło.

Płonnemi wszakże okazały się jego obawy. Dwa miesiące minęło od porwania biskupów i senatorów, a wszelkie wiadomości, jakie w różnych miejscach zbierał i z różnych stron odbierał, jednozgodnie świadczyły, że oburzenie nie tylko nie przemijało, ale przeciwnie rozwijało się i wzrastało. Ten był powód uśmiechu na twarzy sędziwego starosty.

Uśmiechał się, zamyślał i na palcach obliczał, ile które województwo ludzi w pole wyprowadzić jest w stanie. Więc nie obchodził go widok, jaki miał przed oczami; nie oddziaływała na niego posępność, w jaką ten widok jesień ubierała. Starosta stał i uśmiechał się wewnętrznie. W zamku panowała cisza.

W tem w dalszych komnatach słyszeć się dały kroki zbliżającego się człowieka. Drzwi się lekko odchyliły i wszedł szlachcic w kontuszu.

Puławski się od okna odwrócił i zapytał:

— A co tam?...

— List do jaśnie wielmożnego pana.

Puławski list wziął, kopertę rozerwał i czytać począł. Szlachcic odstąpił i przy progu się zatrzymał.

Czytanie zrobiło na staroście wareckim nie miłe wrażenie. Pochylił głowę i zadumał się i po chwili rzucił oczekującemu szlachcicowi, który widocznie był jednym ze sług do zamku przywiązanych, następujący krótki rozkaz:

— Poszlij waść do ojca prefekta i poproś go, aby do mnie przyszedł...

Ale za odchodzącym posłał jeszcze pytanie:

— Kto list przywiózł?

— Pan Kwaśniewski...

— Czemu sam nie przyszedł?

— Natychmiast przyjdzie, tylko się przebierze...

— To dobrze...

Szlachcic wyszedł. Puławski począł chodzić po pokoju, założywszy w tył ręce i zatrzymując się od czasu do czasu rzucał oderwane frazesy:

— To niepodobna!... To za długo!... Nim słońce zejdzie, rosa oczy wyjé...

Po upływie pół godziny znów drzwi się uchyliły i tym razem wszedł ksiądz w bazyliańskim habicie.

— Służby moje, jaśnie wielmożnemu panu...

— Sługa waszmości, księże prefekcie...

Przywitali się. Starosta krzesło przysunął obok stołu, na którym leżały papiery, i sam siadając zaprosił księdza, aby miejsce zajął.

— Prosiłem waszmości, księże dobrodzieju, najprzód, żeby się przed wami wygadać, bo— rzekł z uśmiechem — szlachcicowi polskiemu słabo, jak się nie wygada; a powtóre, mam do was nie małej wagi interes... Ale z jednem i drugiem wstrzymam się, aż Kwaśniewski przyjdzie. Tymczasem powiedzcie mi; jak się macie?

— Jako tako, mości dobrodzieju... pomaleńku...

Ksiądz dobrze wyglądał, ale nie po dominikańsku, i miał roztropne i nieco surowe wejrzenie, co zapewne przypisać należało rodzajowi władzy, jaką piastował.

— Z chłopcami macie nie mały kłopot.

— Ot, jakoś ten kłopot się zbywa... Gromi się i ma się spokój. To jest takie rzemiosło.

— Byle w nich wgromić miłość ojczyzny...

— Staramy się o to mości dobrodzieju... i nie żałujemy ani języka, ani ręki.

Rozmowę przerwało wejście Kwaśniewskiego, którego Puławski następującemi spotkał wyrazami:

— Jak się to stało, że ksiądz biskup nic mi w liście swoim nie wspomina?

— Dlatego, ażeby na wypadek, gdyby list wpadł w ręce królewskiej partyi, nie dowiedziano się, kto go niósł... W takim razie ja z językiem stawiłbym się przed jaśnie wielmożnym starostą...

— A gdyby list wraz z waszmością wpadł w ręce?

— To ja listbym w ich rękach zostawił, a sam się wydobył... Jakoż o mało, że do tego nie przyszło.

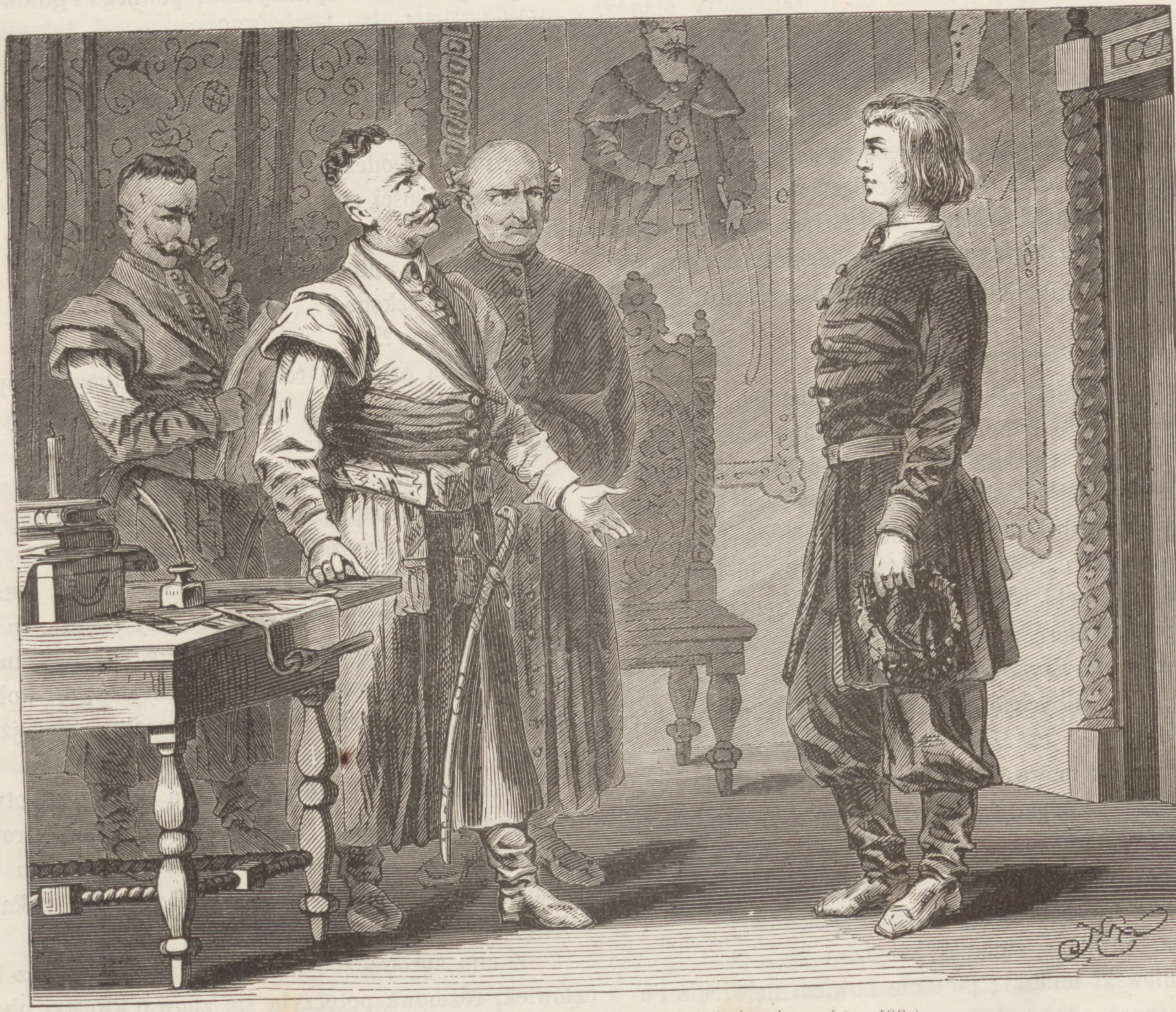
— A to jak?

mnie i o nic nie pytał... i wyraźnie mi oświadczył, że za ojczyznę gotów ostatnią kroplę krwi wytoczyć...

— Chwalebne postanowienie — wsunął Puławski.

— Które póty trwać będzie, póki się inaczej nie przekona — dodał Kwaśniewski.

— Mniejsza o to — podchwycił Puławski z lekko pogardliwym gestem. Pisze mi ksiądz biskup, ażeby temporyzować, albowiem na pomoc dworów nie można liczyć prędzej, jak za rok. Potrzeba, wyraźnie powiada, najmniej rok niezmordowanej pracy, ażeby rzecz z dworami dopro-



— W imieniu ojczyzny? choćby na kraj świata!... *(str. 199.)*

— No... byłem w rękach Dieduszyckiego...

— I on cię puścił?

— Nie tylko puścił, ale dał do zrozumienia, że można na niego liczyć...

— Ba?... z przekonania?... — zapytał Puławski z przyciskiem.

— Z braku przekonania — odparł Kwaśniewski. — Jest to człowiek wahający się i za ostatnią impressyą idący... Służy, a sam nie wie komu, czy sobie, czy królowi, czy ojczyźnie... Kiedym mu boleść ojczyzny przedstawił, puścił

wadzić *ad bonum finem!*... o!...

Tu się zerwał z krzesła, rękę podniósł i mocniejszym począł mówić głosem:

— Niech mi ksiądz biskup daruje, ale to być nie może! Dawniej, kiedym mu przez kozaka posłał ostrzeżenie, że go tropią za lekarza przebranego i są na jego śladach, odpisał mi, że dla tego na jego ślady wpadli, iż badał wartość szlachty... Napisał wówczas wielkiemi literami i dwa razy podkreślił, że „na szlachtę nic a nic rachować nie można, bo jest do niczego“... Ja to spostrzeżenie księ-

dza biskupa starałem się sprawdzić... Gdybym się był przekonał, że tak jest, jak mi Bóg miły! nie widzielibyście mnie w tej oto chwili, waćpanowie, w zamku starosty Kaniowskiego, ale u Trapistów kończącego nędzny żywot, któryby już dla mnie nie miał najmniejszego powabu. Ale, na Boga! tak nie jest...

Zamilkł i przeszedł się po izbie. Z tej przerwy skorzystał Kwaśniewski.

— Mości starosto — rzekł — badaliśmy stan szlachty z księdzem biskupem we dwóch, i niestety! poświadczyć muszę jego słowa... Szlachta jest ciemna, rozpita i rozprzężona.

— Ja temu nie przeczę! — podchwycił Puławski. — Nie mówię, że jest rozumna, trzeźwa i karna. Ale powiadam i twierdzę, że aby ją przyprowadzić do rozumu, wytrzeźwić i karną uczynić, potrzeba ją pchnąć do czynu, powołać do ofiary... Niech ona pierś za ojczyznę nastawi! niech poczuje zapach ofiarnej krwi!... ale niech to zrobi sama przez się, nie zaś za plecami pomocniczych szeregów.

Przeszedł się po komnacie, zatrzymał przed księdzem i zapytał:

— Wszak tak, wielebny ojcze?

— Zgadzam się jak najzupełniej ze zdaniem asana dobrodzieja — odrzekł poważnie ksiądz, głowę pochylając.

— Szlachta jest zepsuta — ciągnął podniesionym głosem Puławski dalej — ale niech poprawy szuka sama w sobie, we własnej duszy, we własnej piersi! niech za cnotami idzie w głąb narodu! nie zaś kryjąc za plecy cudze, bo za niemi na wieki wieków utraci to, co jedynie Polskę uratować może... wiarę w naród!

I rzekł uroczystym głosem:

— *Dixi*... Nie odpycham pomocy obcej, ale na nią czekać nie będę...

A zwracając mowę do Kwaśniewskiego, dodał:

— Powiedz to waćpan księdzu biskupowi... Niechże się spieszy! A zresztą — rzekł tonem zwyczajnym — pomoc jeżeli ma przyjść, to przyjdzie rychlej, kiedy dwory się przekonają, że my bez nich obejść się potrafimy.

— Święta prawda — wsunął ksiądz.

Kwaśniewski milczał; po tonie bowiem mówienia Puławskiego poznał, że dyskusya na nic się tu nie przyda. Puławski chodził po izbie i odsapywał, jak czyni ten, co się zmęczył uniesieniem i chce zimną krew odzyskać.

Po niejakimś czasie przemówił głosem, w którym już ani trochę uniesienia nie było:

— Pisze mi ksiądz biskup, ażebyśmy baczne oko zwracali na Zaporoże, bo się tam coś klei... Moskwa pomiędzy chłopstwem nurtuje... On się o tem dowiedział za granicą, a my tu nic nie wiemy... Czy nie słyszeliście czego, księże prefekcie?...

Ksiądz ramionami ścisnął:

— Włóczą się wprawdzie jacyś żebracy i lirnicy, którychby można podejrzywać... Ale... Bóg to święty raczy wiedzieć... Ja sam jednego widziałem i słyszałem go mówiącego i spiewającego o białym carze... Cóż?... ciemny na obie oczy... Ślepiec przecie nie może być przez Moskali wysłany..

— Trzebaby się jednakże o tem dowiedzieć i do samego źródła dotrzeć — rzekł Puławski.

Pomyślawszy przez chwilkę, zapytał księdza:

— Nie znacie wy, ojcze, jakiego człowieka, młodego, silnego, roztropnego, umiejącego postrzeżenia czynić, umiejącego z postrzeżeń sprawę zdać, pewnego i gotowego pojść wszędzie, gdzie mu każą?...

Ksiądz się podparł na łokciu i zamyślił, jakby w głowie przypomnienia gromadził, a myśląc nosem czmychał.

— Hm... — odezwał się po chwili — takiego, jakiego waszmości, mości starosto, potrzeba, znam, ale tylko jednego.

— Ja więcej nie potrzebuję...

— Ale go szkoda...

— Dla czego?...

— Jest na ostatnim roku filozofii... Ubogi chłopiec...

— I!... To się potem douczy... Ja mu pomogę... A jakiego wyznania?... Unita?...

— Szyzmatyk...

— To jeszcze lepiej... Sprowadźże go asan tu, jak najprędzej... Niech marszałek pójdzie po niego...

— Ale ja — odezwał się ksiądz — napisać muszę karteczkę... bo on właśnie dzień dzisiejszy spędza *in carcere duro*, po czem ma jeszcze dostać trzydzieści bizunów...

— Chybać u was jest zwyczaj, z jednego wołu dwie skóry drzeć? — rzekł Puławski wesoło. Siadajże ojcze i pisz, a ja na marszałka huknę...

Ksiądz zasiadł do pisania, a on przez otworzone drzwi huknął. Echo rozległo się po zamku i sprowadziło szlachcica, który list przynosił. Puławski dał mu rozkaz, posłać kogo do klasztoru ojców Bazylianów z karteczką księdza prefekta.

Zanim sprowadzonym został zalecony przez księdza człowiek, rozmowa potoczyła się znów o kwestyi obcej pomocy, i znów się Puławski uniósł. Z rozmowy się pokazało, że jego ideą *fixe* było, sprowadzić obcą pomoc do Polski w sposób przymusowy, to jest — wyrażając się językiem dzisiejszym: postawić fakt wojny, i niech się około tego faktu mocarstwa grupują.

— Będzie to próba na dwory—twierdził.—Zechcą pospieszyć nam z pomocą? dobrze; nie zechcą? — machnął ręką — niech je wszyscy diabli porwą!... A jeżeli nie chcą nam pomagać, jeżeli się to sprzeciwia ich widokom, to daremna rzecz!... ksiądz biskup, żeby lat sto niezmordowanie pracował, do tego ich nie namówi... „Pomagaj sobie człecze sam, to ci i Bóg pomoże“... Bóg naszą nadzieją...

— *Amen* — odezwał się ksiądz.

I w tej chwili wszedł do zamkowej komnaty młodzieniec, jak topola. Aż miło było popatrzeć na niego. Mógłby rzeźbiarzowi za model posłużyć, tak był zbudowany szykownie, niby z bronzu odlany, niby z jednej sztuki kamienia wykuty. A z pod w łuk zakreślonej brwi tak śmiało i pojętnie patrzył, że się Puławski mimowolnie uśmiechnął, gdy mu w oczy spojrzał.

— Ja Puławski, starosta warecki — rzekł do niego — wezwałem cię tu w imieniu ojczyzny...

Młodzieniec na te słowa jakby podrósł, jakby do lotu się sposobił. Nic nie odpowiedział, ale się ze starym starostą wzrokiem rozmówił. Spojrzeli sobie oko w oko... i porozumieli się.

— Pójdziesz i zrobisz, co ci każę? — zapytał starosta.

— W imieniu ojczyzny?... choćby na kraj świata... — odparł młodzieniec.

— Jak się nazywasz?

— Prokop Dobrzański...

— Wnuk popa z Olchowca — dodał ksiądz prefekt.

— O! — wykrzyknął Puławski. — Czemużeście mi o tem pierwej nie powiedzieli? Sokoła z tego gniazda można na grubą puszczać zwierzynę... Słuchajże co ci powiem...

I od razu, bez żadnych prologów, przystąpił do instrukcyi, która w treści zależała na tem, ażeby się w chłopską przebrał odzież, zwiedził naddnieprzańskie okolice i wywiedział się, co zamierza Zaporoże. Opatrzył go przytem w list do jednego z setników. Młodzieniec od razu i doskonale zrozumiał o co chodzi; a gdy mu w końcu starosta wspomniał, że jeżeli się dobrze i prędko sprawi, to go suta nie minie nadgroda, odpowiedział:

— Nagrody innej nie chcę, tylko służyć ojczyźnie!...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WIELKI HETMAN.

Lata Dziecińskie.

(Z NIEWYDANYCH JESZCZE POEZYI T. LENARTOWICZA. *)

W Oleskim zamku w głuchą ciszę,
W komnatach strojnych w adamaszek,
W kołysce ano się kołysze,
Osobliwego pióra ptaszek.
A ojciec wołać astrologa:
A co tam prawią gwiazdy w górze?
A matka spojrzy k' matce Boga,
Co na oleskim świeci murze.

Będzieto będzie rycerz, prawi
Z pod Żółkiewskiego dziad buławy;
Kiedy się mieczem chłopię bawi,
To już zaprawdę mu do sławy.
Coż kiedy jeszcze takie znaki?
A ówże stół, gdzie dziecię chrzczono,
Pękł na wpół, gdy je położono,
Jakoby więc legł olbrzym jaki.
A k' temu jakie to kolana,
Grube jakoby do bachmata,
Plecy szerokie do kołczana,
A bystre oko orłem lata.
K' temu wszak'ć miłość wasza widzi:
To podobieństwo straszne w onym,
Z obrazem dziada zawieszonym.
Toż Jaś nasz dziadów nie powstydzi,
A ojcu matce to i błogo,
Kto dzieci chwali, serce bierze,
Wszakci się wróżki sprawdzić mogą,
Z rycerzy rodzą się rycerze.

Więc z dumą męzki wzrok Jakóba
Na mężnej spocznie Teofili,
I razem spojrzą w jednej chwili
Na głowę ściętą od kadłuba,
Co oprawiona w drogie kruszcze,
Pomiędzy tarcze, miecze ścienne,
Wisi oprawna w złotej puszcze,
Jakoby słońce burz jesienne.
I w Sobieskiego starym dworze,
Ona białością swojej kości
Rycerzom szepce o Cecorze,
Aż serce pęka od żałości.
Aż krew się burzy, wzroki palą,
A wojną chrzęści stal ze stalą.

No i cóż wasze panno moja,
Co nad Janowym dumasz rymem,
Dla chłopca będzie ot ta zbroja,
Którąm nawdziewał pod Chocimem.
Kiedym pod chatą stawiał warty,

*) Wyjdą wkrótce w Bibliotece Narodowej pod tytułem: „Wspomnienia starej sławy.“

Gdzie leżał nasz Władysław czwarty;
I w której mnie Chodkiewicz stary,
Kiedym zwycięztwem go rozczulił,
Ot tak złożywszy na mnie bary
Do swej rycerskiej piersi tulił.

Takie u dziecka sennej głowy,
Rodzice toczą więc rozmowy.
A Jaś tymczasem rośnie sporo,
Już go na rękach mać nie nosi,
Ni go na łono starsi biorą,
A łóżko mu ze skóry łosiej...

A w roczek dalej już mu prace,
Rycerski ojciec w serce wlewa.
Przed sobą sadza na kulbace,
Podnosić każe mierne drzewa.
Jak świt rycerstwo w pole bieży,
I harce czyni długim łanem,
To i pachole śród rycerzy
Z małym uwija się czakanem.
A szlachta ojców towarzysze,
Popisy czyniąc w ony ranek,
Patrzą jak w siodle się kołysze,
Stepowe orle mały Janek.
I prawi husarz: cny rodzice,
Ta okruszyna kiedyś młoda,
Mistrz będzie wielki do szablice,
Sławnyż to będzie wojewoda.
To orle ano znać po ruchu,
Już on inaczej patrzy, chadza,
Już to mąż siedzi w tym dzieciuchu,
Rumaka patrzeć jak prowadza,
A pole patrzeć jak wybiera,
Jakie to skłonne ku żołnierce,
Na konia skacze jak pantera,
A w tarczę bije zawdy w serce.
Więc na rycerską tę nadzieję,
Rodzicom już się serce śmieje.
Hej niech się chowa szczęśnie, sporo,
Nim tam wybieży na smug ony,
Cień Żółkiewskiego niepomszczony,
Jeszczeć się błąka nad Cecorą...

A kiedy miał dziesiąte lato,
Jednego ranka Jakób stary
Zakupił zbroję mu bogatą,
Ukutą sprawnie wedle miary.
Kto dziką Moskwę, Turków płasza,
Niech się we zbrojej ojców nasza.

I tak zbroiczką ukowaną,
Ciszkiem poniosą na podwoje,
Aż chłopię raz tam wyjdzie rano,
I ujrzy zbroję między zbroje.
A ojciec z matką pójdą w ślady.
Orzeł orlątko widzieć rady.

Patrzą, a chłopię szybkim zwrotem
Siodło na siodło skrzętnie składa,
Zdejmuje puszkę lśniącą złotem,
Z odciętą straszną głową dziada;
Milczy a łzy mu lecą strugą,
Synowskie składa nań uściski,
Już w pierzu on już dzień ten bliski,
Od gniazda wzlecić mu niedługo...

Toż ojciec k'matce: patrz cud prawy,
Do wielkich czynów serce skore,
Dziedzic domowej ojców sławy,
Orle poczuwa swoją porę...

Na zamku gwar, wesele huczne,
Drogą z nad Buga tłum rycerski,
Jadą Czarniecki, Lubomierski,
Wielbłądy z Turek wiodąc juczne.
Stefan a przy nim wielki Jerzy,
Na barkach drogie futra rysie,
Słońce aż ślepi od pancerzy,
Od szmelcowanych zbroj lśni się.
Rycerze jadą równą drogą,
Poważne lica płowej cery,
Ludzie napatrzeć się nie mogą
Tak wielkie widząc kawalery.
Stefan z skręconą na zbroj brodą,
Rękę na męzkim oparł kordzie;
Za nimi licznych jeńców wiodą,
Tatarskiej znać odbitych hordzie.
Tatarów w łękach, Turków nieco,
I Moskwy dzikiej wziętej w pęto,
Jedwabie się tureckie świecą: —
Toż to w Olesku będzie święto.

Na powitanie takich męży,
Sobieska staje z chlebem, solą;
A dzwonów huk, a szczęk oręży,
Gdy hufcom z koni zsieść pozwolą.

I rycerz Jakób w zbroi przedniej,
Co mu połyska z piersi złotem,
Wyjdzie jak ojciec ów czeledni,
Gdzieś na pustyniach przed namiotem,
I rzecze: ojce tej ojczyzny!

Jakąż darzy mnie Bóg pociechą,
Oto na lata mej siwizny
Słońce mi błysło nad mą strzechą,
Widzę was, których polską ziemię
Rycerska pierś od wrogów zbawia...
I chłopię im swe w zbrojej stawia:
A to jest rzecze nasze plemię.

Więc Jerzy, Stefan rękę włoży
W żelaznych łuskach na skroń Jana,
A było to w Niedzielę zrana,
W dzień uroczysty Matki Bożej.

I odeń spiewak z Lachów rodu,
Poczyna swego brzęk rapsodu.

KAROL LIBELT.

SZKIC BIOGRAFICZNY.



Odwiedziny Libelta w naszej podkarpackiej krainie były jakoby świętem jakiemś narodowem. Wszystkie serca biły żywiej, wszystkie umysły siliły się na wynurzenie najlepszych swoich myśli, najszczytniejszych uczuć, które ukrywały przez długi czas w swej głębi, aby niemi zajaśnieć kiedy przy jakiej wielkiej uroczystości.

Dzienniki wszystkie przypominały swoim czytelnikom, kim jest Libelt? Imię jego stało na czele wszystkich pism, jakie w tym czasie u nas wyszły, podobnie jak zwyczajem jest, gdy przyjmują zwycięzkich wodzów, monarchów lub tp., wypisywać ich imiona na tryumfalnych łukach, rozrzucać ich wizerunki między lud i rozpamiętywać ich życie.

Gniewała naszych nieprzyjaciół, naszych „oświecicieli“ ta świąteczna szata, jaką kraj cały przywdział na przyjazd — czyj? ani wodza, ani monarchy, ale „odpędzonego kiedyś przez rząd pruski prof. gimnaz.“ (tak się wyrażali nasi cywilizatorscy malkontenci o Libelcie). Gniewała ta rzecz jeszcze innych, którzy z „oświecicielami“ mają to wspólnego, że zarówno z nimi nie nawidzą tej ciągle zaprzeczanej, poniewieranej i spotwarzanej, a przecież ciągle niebiańskim blaskiem ich olśniewającej posłanniczki wolności narodów — Polski. Ona ich owłada zwolna niewidzialną potęgą, czują już jej tchnienie, słyszą tętno jej serca, chociaż nie chcą jej widzieć: kiedy im się zdaje, że już jej zadali cios ostateczny, odpowiada im znany głos — Jeszcze nie zginęła.

— Jakto? wołają — Kościuszko wam powiedział: *Finis Poloniae*, a wy ciągle jeszcze wywołujecie tę marę z grobu.

Tak jest, wywołujemy, jak Chrystus Łazarza wywołał, jak „dzieweczkę“ wywołał mówiąc: ona spi, jak „młodzieńca“ wskrzesił. My ją wskrzeszamy, „ona spi“ ale „jeszcze nie zginęła“, i gdyby to, że Kościuszko powiedział *Finis Poloniae*, nie było kłamstwem, tobyśmy Kościuszce samemu kłamstwo zadali — nie słowami, nie błahą gadaniną, (jak Słowo i Słowianin), ale czynem, jak nam to w najpiękniejszej chwili swego powitania Libelt zalecał.

Takimto objawem nieśmiertelności Polski było owo święto, jakieśmy obchodzili z powodu przyjazdu Libelta.

Paweł apostoł powiedział, że prawdziwy Chrystusa zwolennik buduje w duszy swojej kościół dla Boga; tak my w duszach naszych odbudujemy Polskę. Gdy te same uczucia, te same przekonania z takim gorącem i taką siłą, z jaką się objawiły przy ugoszczeniu u nas Libelta, ożywią miliony serc ludu, zamieszkującego dawne polskie ziemie, to żadna siła nie oprze się ich potędze.

Jeżeli więc przyjazd tego gościa do nas dał powód

do tak znamienitej uroczystości, to godzi się pójść w ślady innych, i po raz nie wiem który przypomnieć czytelnikom naszym żywot tego męża. Powtórzymy to, co w każdym jego życiorysie powtórzonem być musi, ale pochlebiamy sobie oraz, że poruszymy niektóre, dotąd jeszcze prawie nietykane strony obfitego w czyny życia tego męża.

Musimy powtórzyć tylokrotnie już powtarzane okoliczności, że się urodził w Poznaniu, w r. 1807, jednym ze stanowczych lat w dziejach naszych porozbiorowych, że pierwsze nauki odbył w gimnazyum poznańskiem Maryi Magdaleny, a następnie udał się na uniwersytet berliński. Że tam już celował zdolnością, pracą i nauką tak dalece, iż sobie zasłużył na jedną z najcelniejszych nagrod konkursowych (złoty medal) akademii berlińskiej; że osiągnąwszy tam stopień doktora filozofii w r. 1829 udał się dla dalszego kształcenia się do Paryża; że niedługo korzystał ze skarbów nauki tam nagromadzonych, bo otworzyło mu się inne pole, na którem mieli Polacy zdobyć największy dla siebie skarb — ojczyznę; że tedy pospieszył Libelt do powstania w r. 1831, gdzie zasłużył sobie na krzyż wojskowy. Te wszystkie okoliczności powtarzamy za innymi, bo niepodobna nam było wśród krótkiego pobytu gościa naszego u nas, gdzieśmy go sobie wydzierali i z rąk do rąk podawali, aby go uczcić, gdzieśmy go męczyli naszemi oznakami czci, męczyć go jeszcze żądaniem, aby nam podał szczegóły ze swego życia.

Z tego samego powodu nie możemy podać dokładniejszej wiadomości o następnym lat dziesiątku, który Libelt przepędził po upadku ojczyzny w zacisznej, domowej pracy. Pewni jesteśmy, że ten okres życia spędzony wśród pracy niezawodnie nastręczyłby nam wiele nader ciekawych rysów, przedstawiających jakoby w zarodzie całą obfitość tych owoców potężnego umysłu, jakiemi od r. 1840 zaczął obdarzać naszą literaturę. Musimy wszakże ten czas przepędzony w pracowitem milczeniu pominąć milczeniem. Przystępując zaś do skreślenia działalności Libelta jawnej i zaraz w pierwszych krokach zjednywającej mu rozgłos, pójdziemy za własnemi wrażeniami, jakie na nas czynił z oddalenia umysł jego, sięgający zaraz w początkach do szczytów umiejętności.

Już uwieńczona przez akademię berlińską rozprawa o panteizmie zwiastowała nam filozofa. Na tem polu umiejętności nie obfitowaliśmy w pracowników: L i b e l t, T r e n t o w s k i, C i e s z k o w s k i, G o ł u c h o w s k i, oto główni przedstawiciele naszej filozofii, a obok nich możnaby wymienić jeszcze kilka imion, które pojedyńczemi pracami swemi pomnożyły szczupły zasob prac filozoficznych w naszem pismiennictwie.

W latach 1838 i następnych obudziło się u nas, zwłaszcza między młodzieżą, żywe zajęcie dla filozofii, w której wtedy Szelling i Hegel berło dzierzyli. Zazdrościliśmy Niemcom ich wysokiego wówczas stanowiska, a z niejakim żalem do ziomków naszych T r e n t o w s k i e g o C i e s z k o w s k i e g o i G o ł u c h o w s k i e g o czytaliśmy ich pierwsze prace filozoficzne, dlatego że były pisane po niemiecku. Prace te wszakże, znakomite w swoim rodzaju przejmowały nas dumą, bo ziomkowie ci nasi dowiedli, że naród nasz, który w tylu innych dziedzinach wyrównał innym, albo ich przewyższył, sprosta i na tem polu tym, którym się zdawało, że ich opatrzność przeznaczyła na hegemonów oświaty w ogóle, a filozofii w szczególności.

Kusiła nas ta duma do pisania po polsku w zawodzie filozofii, jak to często młode siły kuszą się o wielkie rzeczy; a kiedyśmy się pasowali z młodocianą nieudolnością naszą, kiedyśmy próbowali to przekładać greckie i niemieckie dzieła filozoficzne, to pisać w oryginale, zabłysnęły w pismach poznańskich (w Tygodniku literackim, Orędowniku, Dzienniku domowym, nawet w Przyjacielu Ludu) prace, które nakazywały naszym próbom pozostać w tekach; powiedzieliśmy sobie ze starym Horacym: „*Nonum prematur in annum.*“

Prace które na nas uczyniły to wrażenie, owe głosy mistrzów, które nas uczniów skłoniły do milczenia, były to rozprawy mniejszych rozmiarów o kwestyach estetyki albo do życia publicznego się odnoszących, także rozbiory dzieł umiejętnych, lub też znakomitych dzieł z literatury pięknej. Uderzała nas w nich wytrawność i głębokość myśli, jaką nadaje tylko gruntowne i rozległe wykształcenie filozoficzne. Widzieliśmy w tych pracach nie same tylko bierne wstępowania w ślady tego lub owego mistrza filozofii, ale było tam widoczne samoistne działanie myśli, były zarody oryginalnego systemu.

Pod temi pracami znajdowaliśmy podpis K. L i b e l t a, a chociaż często tylko początkowe głoski spotykaliśmy na podpisie, poznawaliśmy autora po sposobie pisania, głębokości myśli i rozległej nauce.

Taką była nasza pierwsza znajomość z Libeltem. Nie było wtedy jeszcze rzeczą głośną, że nowo-występujący pracownik w dziedzinie umiejętności i literatury był już niejako weteranem w walce za wolność i ojczyznę. Nie było nam także wiadomem, że pracą i zdolnością swoją wymusił na nieprzyjaciołach naszej narodowości uwieńczenie swego dzieła, które chociaż w obcym języku napisane, jednakże do rzędu dzieł naszej literatury należy, tem bardziej, że język łaciński był przez długi czas jakoby drugim macierzystym naszym językiem.

Był więc dla nas Libelt zupełnie nową znajomością, był też cały ten ruch literacki, który wtedy brał pierwszy popęd z Poznańskiego, rzeczą zupełnie nową.

Nasza rozdarta ojczyzna przechodziła w ciągu dziejów swoich prawie ustawicznie tę kolej, że raz jedna, raz znowu druga z części podzielonych przodowała w ruchu umysłowym. Ze wstydem wyznać przychodzi, że najmniejszą rolę odgrywała w tym ruchu nasza kraina,

pomimo że wydała kilkanaście najcelniejszych imion naszej literatury.

Lata 1839 do 1845 były perjodem, w którem Poznańskie stanęło na czele naszego ruchu umysłowego, a Libelt był jednym z przewódzców w tym ruchu. Mianowicie było pismo „Rok“, stojące przeważnie pod kierunkiem Libelta, zbiorem samych prawie najcelniejszych prac owczesnych pisarzy polskich.

Obok tej bardzo obfitej w płody czynności literackiej był Libelt czynnym w tajemnych politycznych działaniach, których najgłówniejszem ogniskiem była emigracja, a między nią szczególnie towarzystwo demokratyczne.

Na tem polu działania spotykało się całe ówczesne pokolenie polskie w najrozmaitszych kierunkach. Byłto jeden z najpiękniejszych czynów, dowodzących spojności i jednolitości narodu polskiego, był on najwybitniejszym dowodem, że narodu tego żywot snuje się pasmem nieprzerwanem pomimo zewnętrznego ucisku.

Że Libelt miał w tem działaniu znakomity udział, to wyświeciły dzieje katastrofy z r. 1846; że był ciągle członkiem towarzystwa demokratycznego, to poświadczył dziś jawnie na uroczystem zgromadzeniu towarzystwa narodowo-demokratycznego, które się odbyło na jego cześć podczas jego pobytu we Lwowie.

Nastąpiły dwa lata żałoby dla ziem polskich, dwa lata więzienia i niepewności co do dalszych życia swego losów dla wszystkich, co brali czynny udział w przygotowywaniu tego nowego aktu, dowodzącego nierozerwanej jedności narodu polskiego, jakim był wybuch z r. 1846.

Trzeba tak potężnych umysłów, jakim Libelt jest obdarzony, aby cmentarną samotność więzienia przemienić w pole nowej najdzielniejszej walki, z której wychodzi się zwycięzko, zdobywszy na niej nowe wawrzyny.

Z więzienia, jak z poza grobu, pokrzepił on umysły tych ziomków, którzy na pozór wolni, w rzeczywistości spętani byli uciskiem mściwej reakcyi, dziwnie piękną pracą swoją pod napisem: Dziewica Orleańska.

Czytając to jego dzieło czuliśmy, nie mając jako odgraniczeni kordonem łatwości słyszeć żywego słowa Libelta, to gorące tchnienie namaszczenia, jakiem ujmował słuchaczów swoich w owych znakomitych wykładach, mianych parę lat przedtem w pałacu Działyńskich.

Czytelnicy wybaczą, że w tem miejscu cofniemy się jeszcze do owego krótkiego okresu działalności Libelta, który godzi się utrwalić w pamięci narodowej jako przykład odwagi obywatelskiej i owej szlachetnej przebiegłości na jaką się zdobywa gorący patryotyzm w parze z zamiłowaniem do nauk. Polska nie miała uniwersytetu, bo akademia krakowska była nieprzystępną dla mieszkańców ziem podzielonych. Niepodobną też było rzeczą wywalczyć sobie u rządów nieprzyjaźnych polszczyźnie utworzenie jakiejkolwiek szkoły polskiej. Popadli więc Libelt i kilku jego zacnych przyjaciół na pomysł utworzenia prywatnej akademii polskiej w Poznaniu. Prelegenci obrali sobie przedmioty, których wykład nie mógł wzbudzać w oczach nawet pruskiej policyi żadnej obawy. Prawo cywilne, chemia doświadczalna, literatura niemiecka, wszakto przedmioty tak niewinne politycznie, że pruski rząd wstydził się snać przeszkadzać ich wykładowi. Prelegenci umieli z jednej strony tak zająć słuchaczów jasnym i ożywionym wykładem, publiczność z drugiej tak była radośnie przejęta możnością słuchania wykładów naukowych po polsku, że zdumiewano się powszechnie nad zapałem uczniów zarówno jak nauczycieli dla nauk, które nie zwykły wzbudzać zajęcia w licznej publiczności.

My zazdrościliśmy Wielkopolanom dobrodziejstwa słyszenia w żywem słowie polskich wykładów, których nam niedozwolono poznać nawet w martwem piśmie. Ale niemiecki antagonizm pozazdrościł nam światła rozlewającego się przez to żywe słowo, pozazdrościł zapału do nauki, którą w swoich własnych rodakach tysiącznemi sposobami starał się rozbudzić, pozazdrościł potęgi wiedzy, jaką ona może się stać, jeżeli jest przystępną dla wielkiego ogółu narodu. Wykłady w sali pałacu Działyńskich zostały zakazane po niedługiem trwaniu, a Libelt, któremu rzeczywiście należała się palma tego dzieła, został usuniętym prócz tego z posady, którą piastował przy gimnazyum niemieckiem w Poznaniu.

Wykazaliśmy już, jak te niepowodzenia wcale nieustudzały gorliwości Libelta, ale zarazem dodawały mu bodźca do nieustannej dalszej pracy patryotycznej.

W r. 1848 wszechmocny głos opinii powszechnej otworzył więzienia, ten sam głos zmusił króla pruskiego do oddania czci ofiarom reakcyi, ten też głos wywiódł znowu Libelta na pole działania. Należał on do komitetu narodowego dla ziem polskich pod pruskim zarządem zostających. Udało się wyjednać u króla znaczne ustępstwa dla Poznańskiego.

Powszechna reakcya w całej Europie zatamowała jednakże w Poznańskiem i w ziemiach pruskich rozwój narodowy. Prusacy mścili się w sposób godny barbarzyńców na polskim ludzie, a godzi się podnieść, że lud włościański okazał właśnie w tych ziemiach ducha patryotycznego, jakiego przykładów nie widzieliśmy przedtem w Polsce. Było to dowodem, że w ludzie naszym leży tylko odłogiem ogromna potęga spojności narodowej, do której wskrzeszenia potrzeba umiejętnego kierunku i dobrej woli.

Nastąpiła grobowa cisza po bombardowaniu stolic i wśród krwawych sądów stanu oblężenia. Wśród tego ucisku odważył się Libelt kierować dziennikiem politycznym. Obok „Czasu“, który trwożliwie tylko odzywał się wobec reakcyi, był „Dziennik polski“ pod kierunkiem Libelta jedynem niezawisłem politycznem pismem polskiem. Niezawisłość pisma była dostatecznym powodem

dla pruskiego rządu, aby je stłumić. Zepchnięty z pola dziennikarstwa nie ustał Libelt w pracy i wyświadczył przedewszystkiem wielką przysługę piśmiennictwu naszemu zebraniem swoich Pism pomniejszych. Z powodu tych pism nasuwa się uwaga, że podobne prace, gdyby się pojawiły w jednym z tych języków, które świat uważa za przewodniki (media) oświaty, w angielskim, francuzkim albo niemieckim, wtedyby niezawodnie imię Libelta nabyło sławy europejskiej. Jeszcze bardziej zapewniłaby Libeltowi stanowisko europejskie jego Filozofia, Krytyka i Estetyka, podobnie jak Cieszkowski przez swoje dzieło: *Du credit et de la circulation* nabył powagi naukowej między europejskimi ekonomistami.

Skoro tylko promyk swobodniejszego ruchu zabłysnął dla Królestwa po klęsce poniesionej przez Moskwę w krymskiej wojnie, natychmiast rzuciła się tamtejsza publiczność z całą skwapliwością do korzystania z tych skarbów wiedzy, które złożył Libelt w swoich dziełach. Wyszły w owym czasie w Petersburgu najznakomitsze prace naszych pisarzy, niektóre z nich w powtórnem wydaniu. Że między temi Libelta dzieła musiały zająć jedno z pierwszych miejsc, tego nie potrzebujemy podnosić. Przypominamy tylko znamienitą jego książkę: Humor i prawda.

Od lat kilkunastu poświęcił się Libelt głównie życiu publicznemu, jako poseł na sejmie pruskim i jako czynny członek w poznańskiem towarzystwie naukowem (którego obecnie jest prezesem) oraz gospodarskim.

Jako poseł w sejmie berlińskim i jeden z naczelników koła poselskiego wszedł Libelt na nową drogę cierniową.

Należyć do mniejszości zawsze pokrzywdzanej, zawsze nadaremnie podnoszącej głos w swojej sprawie, zawsze protestującej tylko, i być pewnym zawsze parlamentarnej porażki, jestto ofiara dla sprawy narodowej. Dla uniknienia fałszywych wniosków, któreby z naszego zdania o położeniu posłów polskich w parlamencie pruskim może kto chciał wyprowadzić, musimy wytłumaczyć się, że położenie to zupełnie jest różne od położenia posłów polskich w radzie państwa austryackiej. Różnica istotna leży w tem, że posłowie polscy w berlińskim sejmie zostawać powinni tam i zostają dla tego, aby przez protesty swoje poświadczać ustawicznie, że kraj, który oni reprezentują, nie zgadza się na to, co większość sejmu uchwala.

U nas chodzi o to: czy my uznajemy zasiadanie reprezentacyi sejmu naszego w radzie państwa za zgodne z interesem kraju, gdy mamy oprócz tego sejm własny na to, aby rozstrzygał o sprawach krajowych? Wysłanie delegacyi naszej do rady państwa uwłaczałoby znaczeniu naszego sejmu i uszczuplałoby autonomię kraju, nawet gdyby nasza delegacya zupełnie oppozycyjnie się zachowała przeciw systemowi centralizacyjnemu, a zgoła popieranie tego systemu jest zdradą interesów autonomicznych.

Polscy posłowie w sejmie berlińskim bronili stanowczo i stale zawsze jednej zasady, nie kapitulowali nigdy i nie paktowali z przeciwnikami na niekorzyść kraju. U nas działo się i dzieje się przeciwnie.

Stałe wytrwanie przy zasadach: jedności i swobody narodowej w parze z obroną zasad demokratycznych, jest główną cechą politycznego działania Libelta. Głos jego podniesiony w tej samej myśli na uroczystem zebraniu towarzystwa narodowo-demokratycznego we Lwowie był jakoby upomnieniem ojcowskiem, danem przez weterana w walkach o sprawę narodową i demokratyczną naszemu krajowi, aby tak samo trwał w obronie zasad. Krajowi dał Libelt to upomnienie i miał prawo dać je nietylko w swojem ale w imieniu kraju, którego był przedstawicielem między nami. Przypomnijmy sobie bowiem, że nie znieśli wyborcy tamtejsi nawet najmniejszego pozoru odstąpienia od zasad w swoich posłach i przesłali im głos nagany za ich zachowanie się w kwestyi dotyczącej stosunków narodowości duńskiej do niemieckiej w księstwach nadlabskich. Przypomnijmy sobie, że Libelt uczuł tak żywo to niezadowolenie wyborców, iż natychmiast złożył mandat poselski i zatrzymał go tylko na usilne żądanie komitentów.

Dowodzi to wytrawności politycznej w wyborcach i sumienności w wybranych, jaką my niestety jeszcze się nie możemy poszczycić.

Jak zawód literacki tak i zawód polityczny Libelta godzien jest, aby opisem i rozbiorem jego zapełnić księgę ku pamięci i nauce następnych pokoleń.

Co tu o nim powiedzieliśmy, jest tylko słabem streszczeniem tego, coby powiedzieć można i należało.

W końcu musimy jeszcze podnieść jednę ważną stronę charakteru i życia Libelta. Oddał on się od lat nie bardzo dawnych gospodarstwu wiejskiemu. Nabył on i w tym zawodzie sławy podobnej jak w innych zawodach. Libelt jest znany jako wzorowy gospodarz. Przypisujemy to głównie temu, że mu w praktycznem życiu przyświeca umiejętność. Że się w tem nie mylimy, jest nam dowodem najnowsza praca jego o sojuszu pracy z kapitałem. Objawia się w tej pracy oryginalność pomysłu, a raczej oryginalność w zastosowaniu zasad ekonomii społecznej, zdobytych w najnowszym jej postępie, do naszych potrzeb narodowych. Rzecz której się zawsze od naszych teoretyków i praktyków na polu ekonomii domagać należy. System poruszony przez Libelta w rzeczonej książeczce, jest brzemiennem w doniosłe skutki dla przyszłości narodu. Tak człowiek genialny kładzie jeszcze w sędziwym wieku posady do nowych przemian społecznych.

Karol Widmann.

ZAPISKI ETNOGRAFICZNE.

III.

SĄD SENJORALNY W WĘGRZECH.

Gdyby sumienie nie wściągało zgoła,
Przyrodzenieby rozpuściło koła.
Rej. — Zwierciadło.

W dniu 2. września 1838 r. po drodze wiodącej na senjoralny zamek hrabi Draweckiego (w grodzie Mehadja, hrabstwie Temeszwar) szła gromada wieśniaków; jedni z nich prowadzili powiązanych mężczyznę i kobietę, którzy strojem swoim żydowskie pochodzenie zdradzali; drudzy nieśli na tragach człowieka, którego nadzwyczajna bladość i ściągnione rysy mocne objawiały cierpienie.

Przewódzcą tego orszaku był młodzieniec w podróżnym ubiorze, a lubo spencer jego i dołman prostym tylko jedwabnym sznurkiem wyszyte były, bez żadnej srebrnej lub złotej ozdoby, z tem wszystkiem tak z postawy jak z obejścia snadno było odgadnąć szlachcica. I w istocie, skoro się zbliżył do bramy zamkowej, oświadczył strażnikowi, że jest Janem Maciejem Ludwikiem Berczewiczym, synem Berczewiczego, pana na Czorodach; że mord dokonany został niemal w jego oczach, że on sam zamachów morderczych uniknął, że udało mu się pochwycić występnych i że ich prowadzi do hr. Draweckiego, aby z prawa senjoralnego, jako najwyższy sędzia w Mehadyi, do którego należy rozpoznanie wszelkich zbrodni i wykroczeń popełnionych na jego gruncie, sprawiedliwości domierzył i występnych ukarał.

Natychmiast otworzono bramy i cała gromada weszła do zamku.

Hr. Drawecki wyprawił listy do wszystkich sędziów hrabstwa, aby się nazajutrz, na godzinę 10. z rana, w zamku jego zebrali; a sam przywoławszy pisarza, zajął się w tej chwili badaniem obwinionych i rannego, który niedługi obiecywał żywot, jako też wysłuchaniem Berczewiczego, zanoszącego skargę, i świadków. W skutek tego oskarzyciel i świadkowie, wyznający religię rzymsko-katolicką, złożywszy przysięgę w kaplicy zamkowej, że całą prawdę powiedzą i ust swoich kłamstwem nie skalają, wprowadzani byli z kolei do gabinetu hrabiego.

Żyd i żydówka, acz obwinieni, wykonali przysięgę na srebrnej blasze, na której było wyryte dziesięcioro przykazania Bożego. Wysłuchano również zeznania umierającego człowieka; ale że zarazem o ratowaniu ciała i o zbawieniu duszy jego myśleć należało, badanie odbyło się w obecności kapelana i lekarza.

Nazajutrz 3. września o wyznaczonej godzinie, wielka sala zamkowa uroczystą postać przybrała. Do koła wielkiego stołu, zasłanego czarnem suknem, zasiadło sześciu sędziów hrabstwa, w narodowym stroju z huzarska i w czarnych płaszczach, z srebrnemi potrzebami i sznurami. W pośrodku na wyniesionem krześle siedział hr. Drawecki prezydujący. Strój jego podobny jak innych sędziów, tem się tylko odznaczał, że ozdoby kurtki i dołmana były złote, a guzy dyamentowe. Na piersiach jego połyskiwał order Maryi Teresy.

Przed sędziami stał pisarz. W jednym rogu sali umieszczono modlitewnik, a na nim krucyfix z kości słoniowej, przy modlitewniku siedział ksiądz w ornacie. Świadkowie zajęli ławki po prawej stronie sędziów; publiczność zatłoczyła drugą połowę sali, przedzieloną kratkami od sędziów.

Przy drzwiach trzymali straż huzary domu Draweckich, w kurtkach i spodniach niebieskich, a dołmanach żółtych; byłato bowiem barwa herbu Draweckich, noszących lwa złotego w błękitnem polu.

Nakoniec portrety familijne, zawieszone do koła sali, osłonione były czarnemi krepami na znak, że sprawa była gardłowa.

Hr. Draweeki powstał i otworzył sąd następującą przemową:

„Panowie bracia szlachta! Powołani zostaliśmy dzisiaj, abyśmy ziemskiej domierzyli sprawiedliwości; przysięgnijmy przed Bogiem, naszym wszechmocnym panem, że domierzymy jej według sumienia i prawości, jak przystało na wiernych wyznawców rzymsko-katolicko-apostolskiej religii i prawych szlachciców węgierskich.“

To rzekłszy, szedł ku modlitewnikowi, przykląkł, podniósł prawą rękę i powtórzył rotę przysięgi, odczytaną przez księdza. Każdy z sędziów, dopełniwszy tej formalności, zajął swoje miejsce, a prezydujący uderzył dłonią w stół trzykrotnie i otwarcie sądu ogłosił.

Sześciu huzarów przywiodło oskarzonych; umieszczono ich na ławie, naprzeciw świadków. Żyd mógł mieć około lat trzydziestu, blady, chudy, z siwemi oczyma i rudemi włosami. Żydówka nie miała więcej nad lat dwadzieścia, wysoka, kształtna i rysów twarzy uderzającej piękności.

Za danym przez prezydującego znakiem, pisarz odczytał wywód słowny.

„Ja, Zygmunt Władysław hrabia Drawecki, dziedzic Mehadyi, major w królewskim pułku huzarów, potomek w prostej i zawsze szlachetnej linii Arpada-Drarwy, namiestnika Alaryka, króla Hunów [1]), upoważniony przez królów i królowy Węgier do wymierzania sprawiedliwości na gruncie Mehadyi, któryto przywilej przodkom moim, mnie i następcom moim na wieczne czasy nadanym został.

„Stosownie do praw węgierskich zwołałem trybunał senjoralny Mehadyi i w obecności pisarza mego, Mikołaja Zacharyasza Krapa, przystąpiłem do wybadania Jana Macieja Ludwika Berczewiczego, szlachcica; Sebastyana Dżulaja chłopa; Ezechiela Suka izraelity i Racheli Irmy, żony jego, i okazało się co następuje:

„Jan Maciej Ludwik Berczewiczy, syn Pana Czorodów, mający lat dwadzieścia cztery, zeznał, iż wysłany przez ojca swego do Mehadyi po odebranie tysiąca dukatów, należących się od pana Buskarego panu Borczewiczemu, odbywał podróż konno, jak na prawdziwego węgierskiego szlachcica przystało, bez żadnego orszaku.

„15. sierpnia, dojeżdżając do Mehadyi, zatrzymał się przed karczmą, dzierzawioną przez Ezechiela Suka, żyda, i oddalonej tylko o pięćset sążni od Mehadyi. Ale że dzień był na schyłku, postanowił przenocować w karczmie. Nim się spać położył, wdał się w rozmowę z Ezechielem i żoną jego; a że ci znali dobrze całą rodzinę Buskarych, Berczewiczy nie widział potrzeby taić przed nimi celu swojej podróży. Nazajutrz rano, Berczewiczy siadając na konia, dał żydowi sztukę złota na zapłacenie noclegu; żyd oświadczył, że nie ma drobnych pieniędzy i zapłatę do powrotu pana Berczewiczego odłożył.

„Berczewiczy odjechał tedy nie zapłaciwszy żydowi. Wracając z Mehadyi 1. września stanął znowu przed karczmą i chciał zapłacić Ezechielowi, żeby dalej pojechać, bo miał jeszcze kilka godzin dnia przed sobą; ale żyd zapraszał go z taką usilnością, tak wymownie i gęś pieczoną i szczupaka z pieprzem i tokaj swój zachwalał, że Berczewiczy dał się namówić i został.

„W czasie wieczerzy Suk, żona jego i Sebastyan Dżulaj, ich parobek, szeptali sobie coś cicho, ale Berczewiczy nie zwracał na to uwagi. Udał się natychmiast do swojej izby, i nim się spać położył, kląkł, wieczorne modlitwy i „Pod Twoją obronę“ odmówił, a w końcu według swego zwyczaju odśpiewał: „Kto się w opiekę odda panu swemu“, pieśń upodobaną katolikom węgierskim. A kiedy spiewał, słyszał wyraźnie, jak mu głos jakiś wtórował. On umilkł i głos umilkł także.

„Berczewiczy wyciągnął się na posłaniu i usnął niebawem. Około północy przebudził się spłoszony jakimsiś łoskotem, nadstawił ucha i nic więcej nie dosłyszał, prócz chrapania żyda, spiącego z żoną o ścianę. Usnął powtórnie — nagle budzi go krzyk przeraźliwy i wykrzyk: „Jestem zamordowany!“ Berczewiczy zrywa się, wydziera garść słomy z posłania, zapala ją wystrzałem z pistoletu, i przy tej pochodni spostrzega Ezechiela, wybiegającego ze stajni i wpadającego do jego izby z nożem w ręku. Berczewiczy rzucił się na żyda, pochwycił za gardziel i nóż mu z ręki wydarł.

„Zrobił się hałas, nadbiegło kilku chłopów, pomogli Berczewiczemu związać żyda i żonę jego, która go chciała ratować; a potem wpadli do stajni i znaleźli Sebastyana Dżulaja, brodzącego we krwi i powtarzającego ciągle: „Ezechielu! Ezechielu! ty mnie zamordowałeś!“ Berczewiczy nie mogąc się od tego biedaka dobadać i słowa, kazał naciąć gałęzi, zrobić nosze i złożywszy go na nich, wraz z żydem i żydówką do zamku dostawił.“

Przezydujący: Panie Berczewiczy, czy masz co przydać do twego zeznania?

Berczewiczy: Nie hrabio Drawecki.

Przezydujący: Pisarzu, kończ swoje.

Pisarz czyta: „Sebastyan Dżulaj, mający lat pięćdziesiąt pięć, chłop z Mehadyi, dwakroć już osądzony za kradzież, raz na pięćdziesiąt, drugi raz na sto kijów i dwa miesiące więzienia, zeznał, że od wejścia w słubę do Ezechiela Suka, to jest od roku, dwóch miesięcy i dziesięciu dni popełnił w zmowie ze swoim gospodarzem kilka kradzieży na podróżnych; że 20. sierpnia Ezechiel powtórzył mu swoją rozmowę z Berczewiczym i już wtedy podmówił go do zabicia Berczewiczego, przyrzekając, że się z nim po połowie pieniędzmi podzieli. On, Dżulaj, przystał na to: kupili i naostrzyli dwa noże i wyglądali powrotu Berczewiczego; a kiedy gość tak niecierpliwie wyglądany do karczmy zajechał, Ezechiel przywołał Dżulaja, zmusił go do wypicia kilku kieliszków wódki i rzekł do niego: „Jak tylko zaśnie, zabijesz go!“ Dżulaj sypiał zwyczajnie w stajni na słomie; gdy się ściemniło, poszedł podedrzwi Berczewiczego, wychodzące do stajni, i wtedy posłyszał, jak szlachcic nucił pieśń: „Kto się w opiekę odda panu swemu“. Dżulaj, który w dzieciństwie swojem nie raz tę pieśń u rodziców sam spiewał, i który głęboko wierzył, że śpiewający ją człowiek niczego lękać się nie ma powodu, bo niewątpliwieby napastnika swego pokonał, ulegając przytem jakiejś tajemnej sile, mimowolnie przykląkł i Berczewiczemu wtórować począł. Od tej chwili zrobił mocne postanowienie, że się nie tknie podróżnego; a nawet w pierwszem poruszeniu o obronie jego zamyślał. Z tem wszystkiem odszedł i legł na swojej słomie.

„W nocy Ezechiel przyszedł do niego trzymając w jednem ręku nóż a w drugiem małą latarkę, i rzekł: „Bydło śpi — już czas — wstawaj!“ Dżulaj odpowiedział: „Słuchaj Ezechielu, zostawmy życie temu człowiekowi;

[1]) Szlachta węgierska posuwa rodowody swoje do najodleglejszej starożytności. Tekelowie wywodzą się od Sema, syna Noego; Esterhazowie dosięgają aż do Adama i tych rodowód podpada mniejszej wątpliwości.

on jest pod opieką pana Boga i ręka ludzka nic mu zrobić nie zdoła, bo słyszałem jak spiewał: „Kto się w opiekę odda Panu swemu“... a to pewna, że kto tę pieśń spiewa, ten przeciwnika swego pokona.“ Zdawało się, że słowa Dżulaja zrobiły wrażenie na żydzie. „Niechże i tak będzie —rzekł— kiedy nie chcesz, dajmy mu pokój“— i odszedł.

„Dżulaj przejęty radością, której jak sam wyznaje od pietnastu lat nie doświadczył, pomodlił się i zasnął spokojnie. Nagłe uderzenie w piersi wydarło go ze snu: w tejże chwili uczuł niesłychaną boleść i wykrzyknął: „Jestem zamordowany!“ Widział jeszcze, jak Ezechiel uciekł, potem omdlał; a kiedy przytomność swoją odzyskał, już Ezechiel był w ręku wieśniaków. Przyniesiony do zamku prosił o księdza, wyspowiadał się, otrzymał rozgrzeszenie i powyższe zrobił zeznanie.“

Pisarz czytał dalej wywód słowny Racheli Irmy, żony Suka. Ta zeznała, że dowiedziała się o zmowie na życie podróżnego dopiero tego wieczora, kiedy tenże do karczmy powrócił; utrzymywała, iż zaklinała swego męża, aby zbrodniczy zamiar porzucił, i aż do ostatniej chwili myślała, iż prośbom i łzom jej uległ. Przydała w końcu, iż pierwsza myśl zbrodni wyszła od Dżulaja.

Prezydujący: Niewiasto Rachel, czy upierasz się przy swojem zeznaniu?

Rachel: Tak mój rządzco i panie, mąż mój niewinny. To Sebastyan, to ten zbójca, bez czci, bez sumienia, to on był szatanem, pokusicielem. Ezechiel taki jest dobry! Nim poznał tego zbójcę, nie miał serca kury nawet podskubać, nie byłby ukradł jednego grajcara... A jeźli chciał zabić Dżulaja, to tylko dla tego, żeby Dżulaj podróżnego nie zabił.

Ezechiel Suk, badany następie, tak się wyraził:

Sebastyan Dżulaj chciał zabić Berczewiczego, ja chciałem okraść go tylko. Lękając się, żeby Dżulaj zamiaru swego nie wykonał, poszedłem do stajni, spostrzegłem Dżulaja zmierzającego do gościnnej izby z nożem w ręku, chciałem się rzucić na niego, a w tem szlachcic wpadł na mnie i zaczął mnie katować. Ja nie wiem, jak się to wszystko zrobiło. Dżulaj musiał sam siebie zranić, kiedy się szamotał.

Prezydujący: Żydzie kłamiesz. Dżulaj leżał, kiedy ranionym został.

Ezechiel Suk: Może wydzierając się upadł na nóż i zranił siebie.

Prezydujący: (biorąc w rękę oba noże, złożone na stole sądowym). Ezechielu, nóż skrwawiony jest twoim; nóż, wolny od wszelkiej plamy, jest nożem Dżulaja, a ty utrzymujesz, że nie twój nóż ugodził Dżulaja, że Dżulaj sam siebie zranił.

Ezechiel: Tak utrzymuję... A potem można było i noże zamienić.

Prezydujący: Dżulaj jest umierający, i dla tego nie sądziłem rzeczą przyzwoitą, stawiać go przed sądem, ale kiedy tego koniecznie trzeba, niech go tutaj przyniosą.

Słudzy przynoszą Dżulaja, bladość śmiertelna już lica jego powlekła. Ksiądz na własne jego żądanie przynosi krucyfiks i do ust jego przybliża. Pisarz odczytuje zwolna zeznanie Ezechiela. Dżulaj podnosi głowę z wielkiem wysileniem i z trudem wymawia: „Boże! przebacz mi... umieram... zeznałem prawdę... Boże! przebacz mi, jak ja zabójcy memu przebaczam... Zeznałem prawdę...“ I ledwie domówił, już skonał.

Wynoszą ciało Dżulaja, świadkowie i publiczność idą na ustęp. Sędziowie zostają sami. A kiedy we dwie godziny potem otworzono napowrót salę sądową, prezydujący przystąpił do odczytania wyroku.

„W imię Boga, najwyższego pana nas wszystkich, z upoważnienia Najjaśniejszego Ferdynanda, naszego miłościwego króla i pana, My, Zygmunt Władysław hr. Drawecki, prezydent senjoralnego trybunału Mehadyi, My, Jan Chryzostom Bekiesz, Ludwik Władysław Habary, Zygmunt Hieronim Czadyr, Jan Kazimierz Boskacy, Michał Jan Haclik i Karol Edward Genezy, sędziowie trybunału —

„Uznawszy, że Ezechiel Suk, izraelita, dopuścił się zamysłu kradzieży na osobie Jana Macieja Ludwika Berczewiczego, szlachcica węgierskiego, i morderstwa na osobie Sebastyana Dżulaja, chłopa węgierskiego;

„uznawszy, że Rachel Irma, zona Ezechiela Suka, o zbrodniczym zamyśle męża wiedziała, acz wspólniczką zbrodni nie była:

„Skazujemy Ezechiela Suka na powieszenie, i karę tę na samemże miejscu, kędy zbrodnia spełnioną była, wymierzoną mieć chcemy;

„skazujemy Rachelę Irmę na pięćdziesiąt rózg i sześć miesięcy więzienia.“

Wyrok ten opatrzony był podpisami prezydującego, sędziów i pisarza.

Straż wyprowadziła winowajców do zamkowego więzienia; wyrok posłany został do Temeszwaru pod zatwierdzenie wice-hrabiego komitatu, zkąd poszedł do Pesztu pod zatwierdzenie arcyksięcia palatyna, wielkorządzcy Węgier.

Trybunał wyższy pod prezydencyą wice-hrabiego, i sąd najwyższy pod prezydencyą arcyksięcia palatyna, potwierdziły wyrok, odrzuciwszy podanie się do łaski, zaniesione przez Ezechiela Suka, a nie uznając potrzeby odesłania sprawy do cesarza Ferdynanda, króla węgierskiego, rozkazały do wykonania przystąpić.

12. listopada żyd Ezechiel powieszonym został na szubienicy, postawionej w jego karczmie. Rachel odebrała chłostę i w temeszwarskiem więzieniu resztę dosiedziała wyroku.

Ksawery Godebski.

Awanturnicy w Polsce.

(Ciąg dalszy.)

Gdy chirurg Gendron się oddalił, przyszedł lekarz wojewody ruskiego, i nazywając swego poprzednika szarlatanem, wziął mię w swoją opiekę. W tymże samym czasie nadszedł książę Lubomirski, mąż wojewodzianki, i opowiadał nam, co zaszło zaraz po pojedynku. Gdy Biniński przybył do Woli i ujrzał ciężko zranionego przyjaciela, dosiadł konia i popędził jak szalony, przysięgając, że mnie zabije. Ponieważ spodziewał się zaleźć mnie u Tomatisa, więc wpadł do niego. Zastał go w towarzystwie księcia Lubomirskiego i hr. Moszczyńskiego. Gdy mnie nie widział, zapytał się, gdzie jestem, a gdy mu Tomatis odpowiedział, że nie wie, strzelił do niego. Hrabia Moszczyński chwycił go w pół, lecz Biniński ciął go trzy razy szablą, raniąc mu twarz mocno.

Po tym bohaterskim czynie — opowiadał dalej ks. Lubomirski — chwycił mnie za kołnierz, i przykładając mi pistolet do piersi, zagroził mi, że mnie zastrzeli, jeźli go nie przeprowadzę bezpiecznie na podwórze do jego konia, i nie osłonię przed służbą Tomatisa, co też natychmiast uczyniłem. Moszczyński wrócił do domu oddając się w opiekę chirurgowi, a ja poszedłem do miasta, aby wiedzieć, co się dalej stanie. Skoro się rozbiegła wieść, że Branicki został zabity, dopadli huzary jego koni i uwijają się na wszystkie strony, aby pomścić swego pułkownika i pana zabić. Szczęście twoje, żeś tu znalazł schronienie. Wielki Marszałek kazał otoczyć klasztor dwustu dragonom pod pozorem, abyś pan nie uszedł, a w istocie, aby cię ci szaleńcy nie zamordowali. Podstoli jest w wielkiem niebezpieczeństwie, jeżeli wnętrzności zostały naruszone. Jutro się o tem lekarze upewnią. Branicki dał się zanieść do Wielkiego Podkomorzego, gdyż bał się wracać do swego pomieszkania w zamku królewskim. Król jednak odwiedził go zaraz. Jenerał, który był obecnym przy pojedynku, opowiadał, że od nieochybnej śmierci uratowała pana tylko groźba pańska, że mierzyć będziesz Branickiemu w głowę. Aby ją sobie zasłonić stanął Branicki w niewygodnej pozycyi i dla tego chybił. Gdyby nie to, byłby pana ugodził w samo serce, gdyż strzela tak dobrze, że kula jego pistoletu, wystrzelona przeciw ostrzu noża, zawsze w połowie nakrojona upada. Wielkie szczęście także, że pana nie dostrzegł na saniach Biniński, byłby pana bowiem niezawodnie zamordował.

— Największem mojem szczęściem — odpowiedziałem — jest, że nie zabiłem Branickiego. I tak już bowiem towarzysze jego byliby mnie rozsiekali, gdyby nie jego okrzyk: „Dajcie mu pokój, to człowiek honoru!“ Smuci mnie mocno zajście z Moszczyńskim, a co do Tomatisa, to nie wątpię, że tylko dla tego uszedł żywcem, że pistolet nie był nabity kulą.

— I ja jestem tego zdania, gdyż nie słychać było kuli.

W tej chwili wszedł oficer Wojewody i wręczył mi bilet, w którym książę pisał do mnie: „Czytaj pan, co mi król właśnie donosi, i spij spokojnie.“

Bilet króla, który dotychczas przechowuję, opiewał:

„Branicki, mój kochany stryju, ma się bardzo źle. Moi lekarze są przy nim, aby czynili wszystko, co sztuka ich potrafi. Nie zapomniałem jednak o Casanowie, możesz mu stryju zapewnić ułaskawienie, nawet na wygadek, gdyby Branicki umarł.“

Ucałowałem z czcią i wdzięcznością bilet i pokazałem go moim licznym gościom, którzy wraz ze mną podziwiali męża, który istotnie zasługiwał być królem. Po tej doznanej pociesze potrzebowałem spokoju, i znakomici goście opuścili mnie. Gdy ich już nie było, zbliżył się do mnie mój przyjaciel Campioni, który wszedł był do pokoju cicho i na uboczu się trzymał; oddał mi poruczony mu pakiet i z łzami winszował mi wypadku, który zdaniem jego okrywał mię nieśmiertelnym honorem.

Na drugi dzień miałem odwiedzin bez liku i otrzymywałem kieski złota, nadsyłane mi przez magnatów, nieprzyjaźnych Branickiemu. Posłaniec, który mi przynosił kieskę, oświadczał imieniem pana lub damy, która pieniądze przysyłała, że prawdopodobnie jako obcy pieniędzy potrzebuję, i dla tego ośmielono się przysłać mi takowe. Najmniej 4.000 dukatów odesłałem w ten sposób i byłem z tego dumnym. Campioni śmiał się z mego heroizmu i miał racyę, bo potem sam tego żałowałem. Jedynym podarkiem, który przyjąłem, był dobry stół na cztery osoby, który mi książę Adam Czartoryski regularnie co dzień przysyłał, chociaż jeść nie mogłem, bo mój eskulap, który nie wynalazł prochu, był wielkim przyjacielem dyety.

Moja mała rana na brzuchu goiła się, ale ponieważ mojej ręce czwartego dnia groziła gangrena, więc oświadczyli chirurgowie, że bez amputacyi nie można myśleć o zagojeniu. O tym scientyficznym rezultacie dowiedziałem się na drugi dzień z gazety dworskiej. Gazeta ta drukowała się w nocy, a przedtem sam król sygnował manuskrypt. Nie będąc wcale zdania moich katów, śmiałem się z ich ignorancyi, tak jak się śmiałem w oczy wszystkim, którzy mi tłumaczyli konieczność amputacyi, kiedy równocześnie pojawiło się dwóch chirurgów.

— Przychodzicie panowie w wielkiej liczbie, czemu aż we trzech, jeźli wolno zapytać?

— Dlatego — odparł mój zwykły chirurg — że nim



 MARYA LESZCZYŃSKA. (str. 210).

rozpocznę amputacyę, muszę mieć pozwolenie tych trzech profesorów. Zobaczymy, w jakim stanie znajduje się rana?

Zdjęto bandaż i oglądnięto ranę. Była ona zakrwawioną a ciało bladawe; oczywiście przyszła gangrena i amputacya odbyć się musi przed nocą. Tak oświadczyli rzeźnicy z tryumfującą miną, zapewniając mnie, że się niczego bać nie potrzebuję i że kuracya szybko nastąpi.

— Moi panowie — odpowiedziałem — słyszałem tu wiele naukowych powodów, braknie tylko jednego jeszcze, t. j. mego pozwolenia, a tego panowie nie otrzymacie. Jako pan mojej ręki nie pozwalam na jej odjęcie. Znajduję wasze argumenta śmiesznemi.

— Mój panie, gangrena jest już w dłoni, jutro ogarnie ramię, a wtedy i ramię utracisz.

— Dobrze, wtedy stracę ramię, ale dotychczas gangreny nie ma.

— Przecież pan nie rozumiesz się lepiej na tem niż my.

— Być może, ale wy się na tem wcale nie rozumiecie.

We dwie godziny poźniej otrzymuję nudne wizyty wszystkich, którym chirurgowie o moim oporze opowiadali. Książę wojewoda pisał mi nawet, że król dziwi się niepomału nad moim brakiem odwagi.

Dotknięty na punkcie honoru niejako, począłem pisać do króla list długi, pół seryo, pół żartobliwy, w którym wyszydzałem nieuctwo lekarzy i łatwowierność tych, co im ufają. Pisałem Jego kr. mości, że nie wiedząc, co począć z ramieniem bez dłoni, będę czekał, aż mi z powodu gangreny i ramię odciąć będzie potrzeba.

List mój czytany u dworu wydał się szczególnym jak na człowieka, który jest ofiarą gangreny; zawierał bowiem cztery zapisane strony. Książę Lubomirski zauważył przedemną dobrotliwie, że niesłusznie żartuję z ludzi, którzy biorą udział w mem położeniu, bo przecież niepodobna, aby trzej najpierwsi chirurgowie Warszawy mylili się w tak prostej sprawie.

— Najłaskawszy panie — odparłem — oni nie łudzą się, ale mnie chcą złudzić.

— W jakimże celu?

— Aby przysłużyć się Branickiemu, który ma się bardzo źle i który może do wyzdrowienia potrzebuję tej pociechy.

— Trudno temu istotnie wierzyć.

— Cóż powie na to JO. książę, gdy się przekona, że miałem słuszność?

— Będę pana podziwiał i chwalił, ale musi się to sprawdzić.

— Zobaczymy to dzisiaj.

Chirurgowie przyszli wkrótce we czterech. Znaleziono moje ramię mocno opuchnięte i blado zabarwione, gdy jednak odjęto szarpie, ujrzałem, że niema niebezpieczeństwa. Choć w duszy się radowałem, nie mówiłem przecież ani słówka. Książę Sułkowski August i Abbé Gouvel byli przytomni. Ten ostatni był wiernie przywiązanym do ks. wojewody. Chirurgowie zapewniają, że trzeba odjąć nie już rękę tylko ale całe ramię, najdalej do jutra rana.

Znudziło mnie to już, sprzeczać się z ludźmi uprzedzonymi, powiedziałem im tedy, aby jutro przyszli z instrumentami a pozwolę na amputacyą. Uradowani zwycięztwem pobiegli, aby roznieść tę nowinę u dworu, u Branickiego, u ks. wojewody itd. Ja zaś nakazałem memu służącemu, aby ich do mnie już nie przypuszczał.

Nie będę opowiadał dalszych szczegółów. Wspomnę tylko, że chirurg francuzki ks. Sułkowskiego, nie bojąc się nieprzyjaźni wszystkich swych uczonych kolegów, leczył mnie tak, jak sobie tego życzyłem, i że zachowałem dłoń i ramię nieuszkodzone.

W dzień Wielkanocy poszedłem z ręką na temblaku do kościoła. Kuracja moja wymagała tylko 25 dni, ale dopiero po ośmnastu miesiącach mogłem władać ramieniem. Wszyscy prawili mi komplementa z powodu mojej stałości, i uważali chirurgów za ignorantów i lekkomyślnych ludzi. Ja z mojej strony byłem bardzo skłonny uważać ich za nieuczciwych.

Przytoczę tu zajście, które mi się przydarzyło trzy dni po moim pojedynku.

(Dokończenie nastąpi).

Marya Leszczyńska.

Królowa Francuzka.

Francuzki biograf Maryi, abbé Proyart, zaczyna opis jej żywota od tych słów: „Mówiąc o Maryi Leszczyńskiej wywołuje się mimowolnie w wyobraźni ideał cnoty.“ Proyarta zdanie było swojego czasu zdaniem opinii publicznej we Francyi, a żywot tej królowej przekonywa, że ta opinia o Maryi nie była bynajmniej niesłuszną, i że owszem wszystkie pochwały nie równoważyły nawet jej istotnej wartości, a tem mniej ją przewyższały.

Marya, Karolina, Zofia, Felicyta Leszczyńska była córką Stanisława Leszczyńskiego, podówczas wojewody poznańskiego, i Katarzyny z Opalińskich. Przyszła na świat d. 23. czerwca 1703 i pierwsze lata jej życia upłynęły

wśród zgiełku i zaburzenia wojny, którą Karol XII. prowadził w Polsce. Kiedy ojciec jej wyniesiony został na tron, liczyła lat dwa i w tułactwie, na ktore skazany został Leszczyński wkrótce po otrzymaniu korony, kilkakrotnie znajdowało się w niebezpieczeństwie jej życie, z którego tylko jakoby cudem została uratowaną. I tak już w kilkanaście dni po elekcyi króla Stanisława, gdy Karol XII. opuścił z wojskiem szwedzkiem Warszawę dążąc ku Czerwonej Rusi, a król Stanisław w stolicy pozostał, podstąpił August nagłym pochodem pod Warszawę i począł ją zdobywać.

Król Stanisław musiał uchodzić wraz z żoną i córką, którą w nieładzie szybkiego odwrotu o mało nie stracił na zawsze. Maryę poruczono jednej ze służebnych, która w zamieszaniu zapomniała dziécię na noclegu w jakiejś oberży. Po kilku godzinach dopiero spostrzeżono, że dziécięcia nie ma, i zaledwie po całodziennem szukaniu znaleziono królewnę w jakiejś stodole, którą ogarniały już płomienie pożaru.

Wśród ustawicznych pochodów wojsk szwedzkich, saskich i rosyjskich przemieszkiwała Marya następnie z matką to w Warszawie, to w Rydzynie, majątku Leszczyńskich na pograniczu szląskiem. Nakoniec w r. 1709, po klęsce Karola XII. pod Pułtawą, gdy już Stanisław na tronie utrzymać się nie mógł, rozstała się licząca zaledwie sześć lat Marya z ojczyzną, aby już nigdy więcej nie powrócić do rodzinnej ziemi. Odtąd przebywała w towarzystwie rodziców to w Szczecinie, które to miasto należało podówczas do Szwecyi, to w Sztokholmie, to w Biponcie w palatynacie, danym w zastaw Stanisławowi od króla szwedzkiego. Po śmierci Karola XII. odebrano Bipont Stanisławowi, i rodzina Leszczyńskich przeniosła się do Wissenburga w Alzacyi, gdzie ówczesny rejent Francyi w imieniu małoletniego Ludwika XV. wspaniałe jej ofiarował schronienie.

Wychowaniem młodej Maryi zajmowała się oprócz matki jeszcze babka, najbardziej jednak światły ojciec, który pomimo wszelkich zajęć politycznych i prześladowania losu, wiele czasu poświęcał kształceniu swojej córki i sam napisał obszerną instrukcyę dla jej nauczycielki pani Moszczyńskiej.

Przybywając do Wissenburga miała Marya lat szesnaście i celowała religijnością, tkliwością serca, dobroczynnością, rozsądkiem i dowcipem więcej trafnym niż błyskotliwym. Rysy jej twarzy i cała powierzchowność również były więcej przyciągające i sympatyczne, niż uderzające pięknością. Obdarzona od natury bystrym umysłem, mówiła oprócz po polsku jeszcze czterma językami, tj. francuzkim, niemieckim, włoskim i szwedzkim. Była nadzwyczajnie wprawną i bardzo zamiłowaną w różnych robotach ręcznych, które obracała na pożytek ubogich. Wkrótce też w niższych i wyższych stanach rozeszła się sława jej przymiotów, a szczególnie jej dobroczynności, którą powiększało jeszcze głośne i szanowane w Europie imię jej ojca.

To sprawiło, że pomimo stanu opuszczenia, w jakim się znajdowała rodzina Leszczyńskich, żyjąca już tylko z dobrodziejstw rządu francuskiego, zgłosiło się przecież dwóch książąt niemieckich i jeden z parów francuzkich o rękę Maryi. Król Stanisław skłaniał się już do przyjęcia oświadczeń Francuza, gdy w tem przybył do Wissenburga kardynał Rohan, biskup strassburgski, i prosił króla o tajemne posłuchanie. Otrzymawszy żądaną audyencyę oświadczył kardynał Leszczyńskiemu, że przybywa w charakterze nadzwyczajnego posła Ludwika XV. z prośbą o rękę Maryi dla króla Francyi. Kardynał wręczył też Leszczyńskiemu, zdziwionemu tak niespodziewanym zaszczytem, a to tem bardziej ponieważ wiedział, że Ludwik zawiązał był wstępne układy swadziebne z infantką hiszpańską, list ks. de Bourbon, pierwszego podówczas ministra Ludwika XV., w którym tenże formalne w imieniu króla składał mu oświadczyny. Po wstępnych umowach w kilka miesięcy po odjeździe kardynała Rohan, przybyło uroczyste poselstwo swadziebne od króla Ludwika, na którego czele stał hr. Antin, a w sierpniu 1725, gdy już król Stanisław przeniósł się był na mieszkanie do Strassburga, przybył tamże ks. Orleanu, syn zmarłego rejenta, dla poślubienia Maryi w imieniu Ludwika. Obchód ten uroczysty odbył się w kościele katedralnym strassburgskim z nadzwyczajną świetnością, w obecności licznego zgromadzenia szlachty Alzacyi i sąsiednich prowincyj Francyi, poczem Marya wziąwszy błogosławieństwo rodziców, otoczona wspaniałym orszakiem dworskim, udała się w podróż do solicy Francyi i powitana przez swego małżonka w pobliżu miasta Moret, odprawiła tryumfalny wjazd do Paryża.

Pierwszych lat kilkanaście małżeńskiego pożycia upłynęły młodej królowej w niezamąconem niczem szczęściu. Ukochany jej ojciec, aby być bliżej swej córki, przeniósł się na mieszkanie do zamku Chambord, niedaleko Wersalu. W przeciągu lat dwunastu powiła królowa dziesięcioro dzieci, z których nadewszystko urodzenie Delfina przepełniło radością całą Francyę.

Po tych dniach szczęścia nastąpiły dnie bardzo smutne dla Maryi. Pierwszą chmurą, która zasępiła jej pogodny dotąd horyzont, było niepowodzenie ojca, który po śmierci Augusta II. udał się do Polski dla odzyskania utraconego berła. Wiadomo z historyi, że król Stanisław haniebnie w tej wyprawie odstąpiony przez Ludwika XV., uchodząc do Gdańska o mało nie wpadł w ręce nieprzyjacioł. Bolało to bardzo Maryę, ale jakkolwiek mogła była wpłynąć na postanowienie Ludwika XV., to przecież dawszy ojcu słowo, że w politykę nigdy mięszać się nie będzie, nie zrobiła ani jednego kroku w celu poparcia sprawy króla Stanisława. Leszczyński powróciwszy z Gdańska

otrzymał Księstwo Lotaryngskie i zamieszkał odtąd w Lunevilu, gdzie wsławił się wzorowemi rządami.

Wkrótce po tym wypadku począł się Ludwik coraz bardziej odstręczać od żony, aż w końcu zajęły jawne faworyty królewskie miejsce na dworze, co dla wychowanej w głębokiej religijności i czystości obyczajów Maryi było strasznym ciosem. Odtąd nie szczędził jej Bóg krzyżów. W r. 1736 straciła matkę, we dwadzieścia lat poźniej zmarł ożeniony niedawno Delfin, a wkrótce potem zabrała jej śmierć i ojca.

Dotknięta tem ostatniem nieszczęściem upadła Marya na siłach i gasnąc odtąd powoli, zakończyła życie w roku 1768, zyskawszy sobie u Francuzów przydomek „świętej królowej.“

Pomimo,że od r. szóstego życia swojego nie była Marya w kraju i czterdzieści lat przepędziła na dworze wersalskim, toć jednak nie przestała ona nigdy być Polką. Książki jej do modlitwy były zawsze polskie, spowiédnika miała Polaka i do ojca pisywała zawsze po polsku podpisując się tak, jak ją w latach dziecinnych w domu nazywano — Marychna.

L. T.

OKRUSZYNY DUCHA.

I.

Gdym dzieckiem jeszcze igrał na łące
Bogatej w wonie i barw tysiące: —
To mi się zdało, że całe me życie
Będzie tak piękne, jak łąka w rozkwicie.

A gdy zagrały, jak pieśń nieznana,
Miłość i zapał w duszy młodziana: —
To mi się zdało, że żywot mój cały
Na pieśń się złoży i szczęścia i chwały.

Jakże inaczej patrzy dziś oko,
Gdym wszedł na życia drogę szeroką!
Żaden już kwiatek pielgrzyma nie łudzi,
A smętne tylko pieśń echo w nim budzi...

Więc gdzież to szczęście, za którem człek goni?
Jestże to mara zaklęta w wód toni,
Czy jasne widmo co sny nam ozłaca?...
Nie — jego imię: ofiara i praca!

Fran. Waligórski.

SŁOWO BEZ ECHA!

SZKIC POWIEŚCIOWY

PRZEZ

JANA ZACHARIASIEWICZA.

(Dokończenie.)

XXXII.

Jednego wieczora przyszedł Karol koło godziny jedenastej do swego pokoju. Cały dzień dzisiejszy był dla niego pełen smutku i umartwienia. „Znajomy z Księstwa“ był dzisiaj nieodstępnym towarzyszem Jadwigi. Mówił z nią bardzo wiele, śmiał się i żartował. Matka Jadwigi była także jakoś inaczej nastrojona. Jej uśmiech okazywał, że była w to wszystko wtajemniczona, o czem na pół po cichu rozmawiała Jadwiga ze „znajomym z Księstwa“. Wszystko to widział Karol i przeczuwał coś niedobrego.

Już po dziesiątej godzinie, gdy kapelusz w ręku trzymał, aby się pożegnać, naprowadziła Jadwiga rozmowę na szczególne upodobanie kobiét w tajemnicach.

— To prawda — odparł zgryźliwie Karol — te tajemnice okropniejsze są od najokropniejszej prawdy.

— Czasem nakazuje żelazna konieczność taką tajemnicę — odparła matka.

— Jak to pan sam przekonasz się jutro albo po jutrze!— dorzuciła Jadwiga.

I spojrzawszy na „znajomego z Księstwa“ roześmiała się tak szczerym i serdecznym śmiechem, że Karol nie mógł już dłużej znieść tego widoku, o którym źle sobie wróżył, i pożegnał się.

W samotności swego pokoju przypomniał jeszcze raz sobie to wszystko z wszelkiemi szczegółami. Myślał nad tem długo, myślał i nic wymyśleć nie mógł.

Przerażająca myśl nasuwała mu się zawsze przed oczy:

— Może ten „znajomy“ już się jej oświadczył, może jutro lub pojutrze sama mi to opowie z tym ponętnym uśmiechem szczęśliwej kobiéty, który mnie zawsze czaruje i całe życie moje do niej przykuwa.

Była to myśl za nadto straszna, za nadto ciężka, aby długo nią się zajmować. Karol rzucił się na łóżko, wziął do ręki pierwszą lepszą książkę, aby się pozbyć tej strasznej a natarczywej myśli.

I po godzinnem szamotaniu udało mu się. Sen słodki odpędził daleko tę myśl złowrogą i przymknął mu strudzone powieki.

Piękne rozkoszne sny spuściły się z nieba i napoiły upragnioną słodyczą jego serce. Stanęła przed nim Jadwiga w białej, powiewnej szacie z zielonym wiankiem na głowie. Wyciągnęła do niego białe ramiona i tak zawisła przed nim na jakimś mglistym obłoku... W jej oczach czytał tylko gorące pragnienia, z jej ust, na pół otwartych, wychodziło jakieś dziwne słowo... słowo bez echa!... Nikt nie powtórzył tego słowa, jakby się jego brzmienia lękał, jakby nie chciał kalać... Ani drzewa, ani ściany, ani góry nie powtórzyły go.

Ach tem słowem jest zapewnie słowo „kocham.“ Niepowinno ono mieć nigdzie echa, tylko w jednem sercu, w sercu wzajemnem. Świat cały nie powinien go słyszeć, bo ono jest jak kwiat mimozy, który zamyka się za lada powiewem przelotnego wiatru.

Tak marzył i śnił sobie Karol właśnie w tej chwili, gdy pod zasłoną grubych ciemności zbliżał się do hotelu jakiś dziwnie milczący orszak...

Czy to pogrzeb jaki tajemny?

Nie! To dopiero żałobnicy idą po nieboszczyka.

I coraz smutniej odbijały się po pustych ścianach kamienic kroki idących, coraz ciszej stąpano po kamiennych flizach...

Wreszcie zbliżył się orszak do drzwi hotelu. Zapukano z lekka. Drzwi się otworzyły... Odźwierny przestraszył się tych gości nocnych.

Zaprowadź nas pod Nr. ***, gdzie mieszka pan X. z Księstwa — ozwał się pierwszy z orszaku — a inni tymczasem porozchodzili się, aby wszystkie miejsca poobsadzać strażą.

W tej chwili śniło się Karolowi, że Jadwiga podała mu białą rączkę, podniosła go do siebie i tak oboje lecieli gdzieś przez różne nieba i przestworza, lecieli bez końca, bez końca.

XXXII.

Zaledwie dzień nastał, zbudził Karola jakiś krzyk przerażający. Wytężył ucho, ale już więcej nic nie usłyszał. W koło było głucho i cicho. Zdawało się, że wszyscy byli jeszcze we śnie pogrążeni.

Właśnie ta cisza niezwykła uderzyła go jakoś więcej, niżeli ów krzyk mniemany. Coś było nienaturalnego w tej ciszy. Była to chwila powszechnego osłupienia z przestrachu, z przerażenia.

Karol wstał i ubrał się. Zdawało mu się, że jest coś w atmosferze... Wielkie tragiczne zdarzenia wyciskają jakieś dziwne, tajemnicze piętno wszystkiemu temu, co je otacza, co było niejako niemym ich świadkiem.

Wreszcie usłyszał Karol jakieś kroki niezwykłe. Ktoś zapukał do jego drzwi.

Wszedł stary służący z zapłakanemi oczyma.

— Na miłość Boga! Co się stało? — zapytał Karol.

— Panna prosi — odparł krótko Litwin i wymknął się na kurytarz.

Karol wbiegł do Jadwigi.

Jadwiga klęczała koło łóżka matki. Matka leżała na łóżku z białą twarzą jak biała karta papieru. Zaledwo kurczowy ruch ust wskazywał, że żyje jeszcze.

Twarz Jadwigi okrywały włosy rozpuszczone. Gdy usłyszała kroki za sobą, wzdrygnęła się i spojrzała po za siebie z wyciągnioną do odporu ręką.

Obaczywszy Karola, odgarnęła szybko cisnące się do oczu włosy, spojrzała na niego oczyma zapłakanemi i pełnemi najwyższej boleści. Rękę przygotowaną do odporu, zamieniła na dłoń przyjaźną wołając:

— Panie Karolu! Ratuj nas! Okropne nieszczęście!

— Nieszczęście! — krzyknął Karol. — Co za nieszczęście?

I powiódł dumnie okiem w koło siebie, jakby wszystkie potęgi do walki wyzywał w obronie tych, którzy tej obrony od niego w tej chwili zażądali.

— Zamknij pan drzwi i zbliż się pan do nas.

Karol wypełnił rozkaz.

— Wzięto mi brata tej nocy! — wyjękła głucho Jadwiga i padła bez zmysłów koło łóżka matki.

Karol nic jeszcze nie mógł zrozumieć. Wiedział tylko, że Jadwiga zemdlała, i że ją trzeźwić potrzeba. Wziął więc karafkę wody, zwilżył jej skronie i powoli podniósł ją z ziemi i na fotel złożył.

Powoli otworzyła oczy i okiem niewymownego przywiązania spojrzała na Karola.

— Jakiego brata? Gdzie go wzięto? — zapytał Karol z głośno bijącem sercem.

— Ten nasz znajomy, któregoś pan u nas widywał...

— Ten z Księstwa?

— Czy nikt nie słyszy? — trwoźliwie zapytała Jadwiga oglądając się po kątach.

— Nie ma żywej duszy.

— Ten znajomy nasz z Księstwa — mówiła Jadwiga śród łkania, to mój brat starszy, rodzony.

— Ten znajomy... to rodzony brat pani?

— Tak jest... W Wilnie podejrzywano go o coś, i musiał za granicę wyjechać. Trzy lata nie widziałyśmy go. Matka i ja stęskniłyśmy się za nim i ułożyłyśmy plan zjechania się tajemnego w Warszawie, jako w miejscu najdogodniejszem. Mówię to wszystko panu w nadzwyczajnem zaufaniu, panie Karolu, a do tego zaufania masz pan już prawo.

Tu wzięła Karola za rękę i gorąco go ścisnęła.

Przed oczyma Karola pociemniało. Taki dziwny stosunek w rodzinie mógł tylko mieć miejsce w społeczeństwie strasznie anormalnego położenia. Jeden ten rys stwierdza to dowodnie i maluje więcej od największego obrazu.

Karol był w tej chwili zupełnie nieprzytomny. Patrzał przed siebie jak człowiek, który nagle zmysły postradał. Nic nie myślał, nic nie czuł w tej chwili, był — trupem.

Jadwiga trzymała długo jego rękę w ciepłej dłoni swojej, ale nie mogła jej rozgrzać. Była zimna jak lód. Innym razem uderzyłoby ją to, dzisiaj przy takiej boleści nie zwracała na to uwagi. Wzięła to po prostu za przerażenie, za współczucie z ich nieszczęściem. Matka nic nie mówiła, tylko zdawała się odmawiać po cichu pacierze.

Nagle oprzytomniał, chwycił się rękoma za głowę i powstał szybko.

— Czy pan masz jaki ratunek dla niego? Wzięli go do cytadeli... — zawołała Jadwiga.

Karol nie słyszał tych słów. Jakby nagle od gadu ukąszony, wypadł za drzwi.

— Poczciwy! On ma nadzieję ratunku — szepnęła Jadwiga, odprowadziła go oczyma do progu i zwróciła się do matki.

XXXIII.

Karol wybiegł na ulicę. Biegł prosto jakby nie miał żadnego celu. Za nim biegła jakaś okropna, straszna myśl. Chciał uciec od tej myśli, chciał ją wyprzedzić lub gdzie zostawić wśród tłumów przechodzących.

— Więc to był brat rodzony — szeptało mu rozradowane serce... a ty lekkomyślnością twoją zgubiłeś go! — odzywało się nieubłagane sumienie.

I ten drugi głos, te Eumenidy każdego fałszywego kroku doganiały go nieustannie. A oskarzenie ich było nawet bardzo prawdopodobne. Zwierzył się bowiem ze wszystkiem przed człowiekiem, którego już z samego instynktu powinien był unikać. Przeczucie mówiło mu wyraźnie, że stał się winą tego nieszczęścia! A lękał się nawet obliczyć prawdopodobne następstwa tego fałszywego kroku. Cóż powie na to Jadwiga, gdy się o tem wszystkiem dowie? Jakież uczucie zajmie miejsce dotychczasowej jej przychylności? Czyż nie odepchnie ze wzgardą sprawcy tak srogiego nieszczęścia? A może mógłby zataić to wszystko przed nią? Czyż wtedy między nim a nią, śród najtkliwszych uścisków nie stanie zimna, blada twarz więźnia? Czyż nie usłyszy wtedy brzęku żelaz i stłumionego z boleści westchnienia?

Takie myśli pędziły za Karolem, a pędziły nieubłagane, nieodparte!

Wybiegł za miasto, minął rogatki, wszedł na ciche, ustronne błonie, a za nim jak rój komarów leciały te straszne, do szpiku piekące myśli!

Zmęczony, prawie bezprzytomny wrócił do domu. Było już nad wieczorem. Przed bramą spotkał starego służącego Jadwigi, który zdawał się czekać na niego.

— Wyglądam pana od godziny — rzekł do niego i poprowadził go z sobą na schody.

Karol szedł za nim jak automat. Za chwilę stał przed Jadwigą.

W pokoju prawie nic się nie zmieniło. Matka Jadwigi leżała jak pierwej na łóżku i tak samo była blada. Usta jej poruszały się kurczowo, jakby się modliła. Przy niej na krześle siedziała Jadwiga.

— Panie Karolu — krzyknęła zaraz na progu — zlituj się i wytłumacz nam jakieś straszne nieporozumienie. Godzina wydaje nam się wiekiem. Jest to tylko nieporozumienie a nic więcej, a jednak tylko pan możesz mieć klucz do tej zagadki.

— Słucham panią — odparł Karol głosem bez dźwięku, i oparł się o poręcz krzesła.

— Brat mój znalazł sposób przesłania mi kartki z więzienia — mówiła Jadwiga, a łzy drzały w jej głosie... oto czytaj pan. Powtarzam, że to jakieś dziwne nieporozumienie.

Karol zaczął czytać i zaraz po pierwszych wierszach zbladł jak ściana. Jadwiga bladła także coraz więcej, patrząc na niego. Jej oczy przystygły dziwnie do jego twarzy.

Na kartce było napisane:

— „Wytłumacz mi, co się stało. Tracę zmysły i nic odgadnąć nie mogę. Zaraz w nocy, zwyczajem podobnych sądów, zawołano mnie do badania. Wiedziano o każdym kroku moim, o każdem słowie, które kiedykolwiek powiedziałem. Wiedziano jednak tylko o tem, com mówił wtedy, gdy był obecny pan Karol ***. W dodatek do tego, gdy chodziło o wykazanie autorstwa niektórych listów, okazano mi kartkę, pisaną moją ręką do ciebie... Wobec takich dowodów muszę się przyznać kto jestem, i pożegnać was może na zawsze. Opiekuj się matką.

Gdy Karol to wszystko przeczytał, zdrętwiał cały i stanął wyprężony jak struna. Jadwiga patrzała wystraszonem okiem na niego. Wyraz twarzy Karola zmienił się zupełnie, i stał się podobnym do twarzy pospolitego zbrodniarza.

W tej chwili wyświeciło mu się wszystko. Przed chwilą wyrzucał tylko sam sobie, że lekkomyślnem zaufaniem występnemu człowiekowi stał się pośrednią przyczyną

tego całego nieszczęścia. Teraz postąpiła rzecz dalej, podejrzenie spadło na niego, że był sprawcą bezpośrednim...

— Cóż pan na to panie Karolu? — krzyknęła nagle Jadwiga. — Na miłość Boga, nie patrz pan tak strasznie. Wszak to tylko nieporozumienie.

— Nie pani, to nie jest nieporozumienie, to istotna prawda — odpowiedział grobowym głosem.

— Nie mów pan tak strasznie... uczułeś pan za nadto nieszczęście nasze... przywołaj pan napowrót zmysły swoje... Wyż wspomnianą karteczkę włożyłam do książki.

— Wszystko prawda... a ja ją tam znalazłem!

— I komu dałeś ją pan?

— Zapewne... zapewne... dałem tam, gdzie teraz jest.

— Zlituj się panie Karolu! Pan bredzisz. Weź pan wody zimnej do ust.

— Nie trzeba. Mam tu lód... całą bryłę lodu.

Tu wskazał machinalnie na pierś i próbował uśmiechnąć się, ale tylko twarz swoją okropnie wykrzywił. Jadwiga ujrzawszy to krzyknęła z przerażenia i zakryła twarz rękoma.

Tymczasem zwrócił się Karol do drzwi i wypadł na kurytarz.

Wstąpił do swego pokoju i z małej skrzyneczki wziął parę pistoletów kieszonkowych. Obejrzał pistony i schował. Potem siadł do stołu i napisał do ojca list krótki. Położywszy adres, zapłakał rzewnie. Po chwili zerwał się szybko i poszedł prosto do mieszkania Fedora.

Stróż jednak oznajmił mu, że wczoraj wyprowadził się pan Fedor i wyjechał gdzieś daleko za granicę.

Karol stał chwilę jak osłupiały, a potem spuścił smutno głowę i wyszedł na ulicę.

XXXIV.

Na ulicy zaczął już zmrok zapadać. Karol szedł prostą drogą i nic nie widział, co się wkoło niego dzieje. Za nim szła jeszcze straszniejsza myśl niż przedtem, myśl która od razu zabija i duszę i ciało i całą sławę człowieka, chociaż przedtem gorzko i uczciwie zapracował ją sobie... Myśl ta jak sęp leciała za nim, jak gad pełzała i czepiała się nóg jego, jak złowroga powódź zalewała wszelkie drogi, któremi mógłby ujść i skryć się przed nią. Ona ciężyła nad jego głową chmurą piorunną, gdy w niebo spojrzał, otwierała się bezdenną przepaścią u stóp, gdy ku ziemi głowę pochylił.

A wrzawa wielkomiastowa odbijała dziwnie od tej myśli zatrutej. Tam długi szereg powozów mknął wierzbową ulicą ku zabudowaniom teatru. Szczęśliwi! Jedni będą się zachwycać najnowszym baletem, drudzy w „Rozmaitościach“ śmiać się będą z nowej farsy francuskiej świeżo przepolszczonej.

Karol wyminął szybko ten szereg powozów i dorożek i skierował się ku Wiśle.

Stanął na moście i spojrzał przed siebie.

Niedawno stał na tem samem miejscu, a jakże inaczej wydawał mu się ten prześliczny krajobraz. Teraz nic przed sobą nie widzi, tylko te szare mury tam nad brzegiem Wisły, z tą cieńką ku niebu podnoszącą się wieżycą... to cytadela!

Dziwne głosy usłyszał w tej chwili. Wiatr szumiał mu po nad głową i szeptał do ucha jakieś straszne rzeczy. Skarżył się i płakał, huczał i piszczał jak zwierz ujęty... a wiał gdzieś ztamtąd od zachodu...

Spuścił głowę na fale Wisły, a fale podnoszą się do niego i szepcą mu coś okropnego do ucha.

Rozwijają przejrzyste łono swoje jak rozkoszne zalotnice i mrugają na niego jakby mówiły:

— Pójdź tu, pójdź w nasze objęcia. Damy ci spokój, którego nigdzie nie znajdziesz. Świat wasz jest bez miłosierdzia. My miłosierne ułożymy spokojnie ciało twoje i przymkniemy ci oczy do snu wieczystego.

Zimny dreszcz przeszedł mu po wszystkich członkach, zdawało mu się, że już czuje rozkoszny plusk fali... Już sięga po pierś... idzie wyżej... dochodzi do gardła... i cicho i spokojnie robi się przed oczyma.

W tej chwili uchwycił ktoś Karola za poły od surduta. Obejrzał się i obaczył biednego staruszka.

— Co robisz szalony człowieku — rzekł przytłumionym głosem do niego staruszek — chodź prędko ztąd, aby cię dozorca nie obaczył, bo za te zachcianki poszedłbyś na kilka tygodni do kozy.

— Któż jesteś? — zapytał Karol-- dla czegóż nie dasz mi uspokoić się.

— Uspokoić się? — odparł z chrypliwym śmiechem staruszek—a czy ci tak pilno do tego spokoju? Masz dobry kubrak na sobie i nie wyglądasz, abyś kiedy głód cierpiał... tak głód cierpiał, to okropnie! Będzie temu lat czterdzieści, i ja tak samo raz chciałem zrobić, jak ty teraz, bo zdawało mi się, że dłużej niewytrzymam. A jednak wytrzymałem i dzisiaj wytrzymuję jeszcze gorsze rzeczy od dawnych. Idź, nakryj się pierzyną i wyspij się dobrze. Ja i tego zrobić nie mogę.

Karol odszedł od staruszka i poszedł przed siebie brzegiem Wisły w noc ciemną, smutną, wietrzną...

XXXV.

Pierwszy brzask jutrzenki rozlał się po niebie. Drgające światła przemknęły po ciemnych przestrzeniach i obudziły całą pogrążoną we śnie naturę. Najprzód przesunął się po ziemi długi przeciągły powiew wiatru, jakby oddech budzących się przestrzeni. I naraz odpowiedziały temu oddechowi tysiące przebudzonych istot. Ptactwo zaświergotało, drzewa zaszeleściły, rozliczne echa zaczęły biegać od brzegu do brzegu. A śród tej dziwnej harmonii toczyła cicho wody swoje królowa rzek polskich.

Ocknął się Karol na te głosy natury. Spojrzał wkoło siebie jak człowiek ze snu zbudzony... Stał pod okopami cytadeli.

Gdzie był przez całą noc, co robił? nic a nic nie wiedział. Prawdopodobnie przebył ten czas w jakiemś odurzeniu, z którego nie mógł sobie zdać sprawy. Zmęczona dusza zasnęła śród ciała, a ciało machinalnie odbywało dalej bez wiedzy i woli duszy funkcye swoje, chodziło, ruszało się, żyło.

Wytężył wzrok przed siebie i spostrzegł straż stojącą na okopie, która go obserwowała. Żołnierz stał prosto jak słup nieruchomy, jednako od góry do dołu ociosany, tylko na kasku strzelały różowe promienie zorzy, jak ten cudowny blask u włosów Jowisza.

Dziwna rozkosz ogarnęła serce Karola na ten widok. Z rąk fałszywego Jowisza spodziewał się gromu... a od gromu spodziewał się tego samego spokoju, jaki obiecywały mu fale Wisły.

Ale Jowisz milczał — grom nie padł.

Karol zwrócił się ku miastu. Wszedł na ulicę Bonifratrów. Przed ogromnym gmachem usiadł na kamiennej ławce. Zbliżył się do niego dozorca i zagadnął. Był pewny, że widzi kandydata do sali tego gmachu, obłąkani powystawiali już głowy przez kratę, witając chórem nowego towarzysza... ale Karol odpowiedział dozorcy przyzwoicie, a to wystarczało mu za legitymacyę, że nie jest waryatem.

Jakże gorąco życzył sobie Karol w tej chwili, aby rzeczywiście był warjatem. Stan ten obiecywał mu ten sam spokój, jakiego nie chciała mu dać fala wiślana, i odmówił mu ów Jowisz gromowładny. Ale Karol miał jeszcze zdrowe zmysły, miał zupełną przytomność tego, co zrobił, i co za to cierpieć musi. Życie jego miało być konaniem, ale konaniem długiem z wszelkiemi bolami agonii.

Gdy słońce przypiekło, wstał i wrócił do miasta.

Instynktowo prawie zbliżył się do hotelu, w którym mieszkał. Na widok jednak znajomej mu bramy cofnął się szybko, bo zdawało mu się, że tam jest jakiś pogrzeb... Wszedł do narożnej cukierni.

Przez całą dobę nie miał nic w ustach. Chłopak zaproponował mu szklankę herbaty, na co w milczeniu przystał.

Karol rozpatrzył się zwolna w koło siebie. Koło drugiego stolika siedziało dwóch studentów.

— Niema żadnej wątpliwości, że to on uczynił — ozwał się jeden, wszelkie dowody mówią przeciw niemu.

— Jakto, przecież dla pieniędzy tego nie uczynił — odparł drugi — słyszałem że ma nad Bugiem majątek!

— Może z amatorstwa... przyznam ci się, że zaczynamy się tłuc w błędnem kole...

— To zawsze nikczemność i podłość bez granic. Bywał u nich w domu, wcisnął się do ich tajemnic...

Tu spostrzegł jeden z nich słuchającego z uwagą Karola. Karol miał na twarzy wyraz okropny... Studenci przestali natychmiast rozmawiać z sobą. Porozumieli się tylko na migi, zapłacili za kawę i wyszli.

Karol z osłupieniem wlepił oczy przed siebie.... W uszach szumiało mu jakby tysiąc huraganów...

Za kilka chwil weszli do cukierni nowi goście. Byli to ci sami, którzy niegdyś o Jadwidze rozmawiali. Przyszli weseli, z spiewką na ustach. Z hałasem kazali podać sobie dwie filiżanki herbaty.

— Wiesz Gucio— ozwał się młodszy—że to ci przemysłowiec nie lada. Otóż to znaczy gonić za posagiem. Gdy się dowiedział, że posażna jedynaczka ma brata, któremu oczywiście większą połowę majątku potrzeba było oddać, posłał go najprostszą drogą do cytadeli. Rozumie się, że nietylko już im zawadzać nie będzie, ale nawet o podziale majątku ani wspominać nie można.

— Przecież ona na taką haniebną spekulacyę nie przystanie.

— Są różne sposoby i sposobiki... ładny chłopiec...

— Tfe, co też ty młokosie gadasz — przerwał mu starszy—zkąd masz takie wyobrażenie o moralności publicznej?

Młody „zdechlaczek“ poszukał wąsów pod nosem, których nie znalazł, uśmiechnął się więc i odrzekł:

— Co ja temu winien, świat dzisiaj taki, a ja nie chcę być bocianem.

Karol porwał się z krzesła i dla zamachu rękę w tył wyciągnął... Duża, krzyształowa szyba rozpadła się z brzękiem w kawałki...

Służba zbiegła się do okna. Goście z ciekawości również cisnęli się do Karola...

Wypadek ten oprzytomnił Karola. Tłumaczył się, że to uczynił przypadkiem i położył na stole kilka papierków... Spojrzał potem po sali, ale w sali już nie było tych, których szukał...

Wypadł na ulicę... Na ulicy stało mnóstwo ludzi, zwabionych brzękiem rozbitej szyby. Karol przebiegł przez tłumy, a za nim biegło straszne, potworne słowo—szpieg!

XXXVI.

Jak zwierz szczwany przez charty, tak biegł Karol ulicami Warszawy. Zdawało mu się, że każdy przychodzień wymawia to słowo, że każdy rzuca mu w oczy tę sromotną obelgę!

Przebiegł wszerz i wzdłuż Warszawę, a wszędzie zdawało mu się, że słyszy za sobą to straszne słowo...

Zmęczony, umierający z głodu i pragnienia wstąpił do jakiejś restauracyi.

Zaledwie jednak usiadł i łyżkę wziął do ręki, usłyszał tuż obok siebie:

— Wczoraj zawieźli go do cytadeli... przysłużył mu się przyjaciel, który bywał codziennie u matki.

Karolowi wypadła łyżka z ręki, zapłacił i odszedł.

Jeszcze kilka pomniejszych restauracyi odwiedzał i wszędzie spotkał się ze swojem nazwiskiem.

Dziwna rzecz, wieść ta rozszerzała się jak iskra elektryczna, zdawało się, że komuś nawet zależało na tem, aby ją jak najdalej rozszerzać.

Karol uciekł z miasta i wyszedł za rogatki. Tam wstąpił do pierwszego szynku, który spotkał. Tu spodziewał się być pewnym od wszelkiej kalumnii, tu nikt się podobnemi rzeczami nie zajmował.

Przystąpił do szynkfasu i kazał sobie podać kieliszek wódki.

Na kurytarzu było ciemno, nikt go nie widział, Karol zapłakał rzewnie...

Z Bielańskiej ulicy pospieszył na Miodową. Wpadł do rejenta.

Rejent siedział przy stosie papierów. Obaczywszy Karola zachmurzył czoło.

— Czy i pan byłbyś w stanie uwierzyć?— zapytał Karol a usta mu drżały.

— Nie, panie Karolu — odparł rejent — ja temu nie wierzę. Mogłeś pan dać jakie pozory, bo inaczej ludzie nie mówiliby o tem, ale w gruncie jesteś pan nie winien. W to wierzę i tego się trzymam.



PORWANIE W REKRUTY. *Z „Polonii" Artura Grottgera.*

— Wiecie Marcinie — mówił stary dorożkarz do towarzysza — zkąd to się weźmie taka bestya?

— Djabeł, djabeł sieje na świecie! — odparł z powagą towarzysz.

— To tylko kamień do szyi i do wody.

Karol postawił wódkę, zgrzytnął zębami, zapłacił i odszedł.

Przypomniał sobie starego pułkownika. Wsiadł do dorożki i zdążył na ulicę Bielańską.

Ulicą szedł właśnie stary pułkownik do domu. Karol pospieszył za nim i dopędził go na schodach. Pułkownik obaczył go, przyspieszył kroku i przed nosem zamknął mu drzwi.

— O mój drogi przyjacielu — krzyknął Karol, rzucając się na szyję rejentowi, więc ty jedyny...

Rejent wywinął się z objęć Karola i rzekł:

— Tak, to jest moje przekonanie. Ale inna rzecz jest, co dalej? Wierzaj mi, w wyjątkowem naszem położeniu na podobną kalumnię nie ma ratunku. Ostracyzm naszego społeczeństwa jest pod tym względem okrutny, nieubłagany. Żadna obrona tu nie pomoże. Człowiekowi, którego ta straszna kalumnia dotknęła, nie pozostaje nic innego, jak tylko kazać sobie grób wykopać i żywcem wleźć do niego! I jeszcze tam będą ci się urągać, jęk twego konania przedrzeźniać.

— O wielki Boże! — krzyknął Karol i załamał ręce.

— Weź ze mnie miarę — mówił dalej rejent — Ja nie wierzę w twoją winę, boleję nad twojem nieszczęściem, jestem przyjacielem twoim i twego ojca... a jednak bardzoby mi przykro było, gdybyś przy innych gościach wszedł w dom mój...

Karol wypadł na ulicę. Straszne, okropne rzeczy biegały mu przed oczyma.

Nagle, na Nowym-Świecie, zagadnął ktoś nagle do niego. Była to Michalina. Weszła szybko do sieni, i w głębi dopiero odwróciła się, aby go pozdrowić.

— Jak się pan masz, panie Karolu? — rzekła do niego sympatycznym głosem podając mu rękę.

Karolowi stanęły łzy w oczach. Był to pierwszy, sympatyczniejszy głos dla niego.

— Ach pani! — zawołał, całując jej drobną rączkę — nie uwierzysz pani...

Michalina wywinęła rękę z jego dłoni, odsunęła się krok głębiej i odparła:

— Ach wierzę i wierzyłam od dawna, za pierwszem poznaniem pana, że nie byłam mu obojętną, a nawet wyznać muszę, że wzajem... ale to sen już tylko i wspomnienie, panie Karolu. Dla tego zaczepiłam pana, aby powiedzieć, że w dzisiejszym składzie rzeczy ani mowy więcej nie może być o tem... choć pan widzi, jak mnie to boli... Ale świat, świat jest okropny!... Wyobraź pan sobie nasze stanowisko w świecie, w towarzystwie... Nie, to być nie może! Nie oddawaj się pan żadnej nadziei, panie Karolu, i nie chciej mnie pan jakim daremnym krokiem kompromitować...

Tu ścisnęła mu rękę, spojrzała raz jeszcze przez łzy prawie na przedmiot swych złotych wsiowych marzeń, które niestety tak krótko trwały, i wbiegła szybko na schody.

Karol stał jak odurzony, bo całej tej sceny nie mógł dobrze zrozumieć. Po chwili dopiero wyjaśniło mu się. Michalina była pewną, że on się w niej kocha, i mimo wszelkiego swego wyrachowania, z jakiem do tej uczuciowej swojej katastrofy przystępowała, wzdrygnęła się i cofnęła. A cóżby dopiero uczyniła Jadwiga?

— Mój Boże! — pomyślał sobie nieszczęśliwy — teraz widzę, że jestem już bez ratunku stracony. Jeżeli taka kobiéta zrzeka się złotych marzeń swoich dlatego, że do mnie przylgnęło błoto, po większej części niezasłużone...

Zwrócił się szybko i wybiegł na ulicę i gdzieś przepadł. W hotelu dopytywano się o niego, ale nikt nie wiedział, gdzie się podział.

XXXVII.

W kilka dni potem przyjechał do miasta pan Benedykt. Biedny staruszek był jak papier blady i trząsł się cały. Otworzył drzwi u rejenta i stanął w progu.

Rejent przeżegnał się, bo myślał, że jakie widmo zobaczył. Pospieszył szybko na przyjęcie gościa, ale pan Benedykt wyciągnął przed siebie rękę, jakby do odporu, i rzekł grobowym głosem:

— Czy to prawda, co mnie na wieś doszło?

— Jakto? I własny ojciec to mówi? — odparł z indygnacyą rejent—Wszak to jest tylko kalumnia a nic więcej!

— Ale ja pytam tylko ciebie — odparł pan Benedykt nieprzestępując progu — czy to prawda, że tak mówią w mieście?

— Tego przecież tak zaraz do serca brać nie można— jąkał zakłopotany rejent.

— Że on jest niewinnym, wiem o tem — mówił dalej pan Benedykt — że tylko przez lekkomyślność musiał dać powód publice do tej kalumnii, jestem święcie przekonany; ale pytam się ciebie, czy tak mówią w istocie?

— Przecież znalazłyby się może jakie środki — remonstrował rejent ocierając pot z czoła.

— Środki? — zaśmiał się pan Benedykt — Czy wiesz, co powiedział jeden z ojców kościoła, gdy kalumniator przyznał mu się, że drugiemu odebrał dobrą sławę i pytał go, w jaki sposób ma to naprawić. Bogobojny mąż dał mu pierzynę, kazał mu z nią iść na wieżę i pierze wypuścić. A teraz idź, zbieraj to pierze — rzekł do niego — a gdy pozbierasz przyjdziesz do mnie... Więc pytam się, czy to prawda?

— Tak... tak mówią w mieście — wyjęknął rejent.

Pan Benedykt pożegnał go i zamknął drzwi nie słuchając wcale wołania przyjaciela.

Na drugi dzień był już w domu. Posłał po księdza Ksawerego i rzekł:

— Dosyć mi, dowiedziałem się już. Przynieś ojcze wijatyk i posłuchaj mnie spowiedzi.

— Jakto, panie Benedykcie, któż wierzy oszczercom — wołał ze łzami ksiądz Ksawery.

— Ja nie wierzę, ty nie wierzysz, i dziesięciu może także nie wierzy. Ale wierzy cały gmin, głupia publika, i ci, co mnie nie znają. Dla mnie dosyć, że nazwisko moje wala się po błocie...

Za trzy dni musiał rzeczywiście ksiądz Ksawery przynieść wijatyk i wysłuchał spowiedzi przyjaciela, a za kilka godzin potem już był pan Benedykt tak spokojny, jak nim tylko może być człowiek szczęśliwy. Zbielał tylko na twarzy i uśmiechnął się, jakby wszystkim przebaczał.

Za dwa dni odbył się pogrzeb. Z okolicy prawie nikt nie przyjechał.

Dziwni, bardzo dziwni są ludzie. A dziwniejszą jeszcze ta potęga uczucia, która na pewne zbrodnie nie ma litości ni miłosierdzia, wołając zaraz z góry: biada! biada! biada!

Jeszcze ks. Ksawery trumny na cmentarzu nie pokropił, gdy ze strzechy dworu wyrósł czarny słup dymu... Powoli mignął płomień i ogarnął wszystkie budynki.

Zapewnie w czasie pogrzebu zostawiono nieuważnie gdzieś lampę lub świecę palącą się... ale ludzie inaczej to sobie wytłumaczyli. Widzieli w tem palec nieubłaganego sędziego.

XXXVIII.

Na poddaszu Starego-Miasta, na ubogim barłogu siedział młody człowiek i zamyślony patrzał przed siebie. Był strasznie blady, jakby wiele, bardzo wiele nocy czuwał. Lada szmer, lada szelest sprawiał na nim dziwne wrażenie. Śledził oczyma i nadsłuchiwał pilnie. Ręka jego spazmatycznie chwytała za kieszeń, gdzie trzymał coś ukrytego.

Na zamku wybiła godzina dwunasta. Po schodach dały się słyszyć ciche stąpania...

Młody człowiek chwycił znowu za kieszeń i zaparł oddech w piersi. Słychać było suwanie po drzwiach, jakby ktoś klamki szukał... Wlepił oczy we drzwi, które zdawały się ruszać pod naciskiem mocnej ręki...

Wreszcie zastukano trzy razy i zakreślono ręką na drzwiach jakby krzyż święty. Młody człowiek odetchnął i pospieszył do drzwi, aby je otworzyć.

— Witaj Szymonie — rzekł do wchodzącego i podał mu rękę.

— Przyprowadzam ci winowajcę, o którym mówiłem wczoraj — odparł przybyły i wciągnął za rękę swego towarzysza.

Winowajcą tym był — Karol. Ubior jego był pomięty i wytarty, jakby rok go nie zmieniał. Na szyi nie było ani śladu białej koszuli, tylko czernił się sznurek skręconej chustki. Na twarzy postarzał się o lat dwadzieścia.

Gospodarz podał obom rękę i zaprosił ich, aby na barłogu usiedli.

— Więc to pan jesteś tym nieszczęśliwym, o którym całe miasto mówi? — zapytał gospodarz.

— Tak jest — odparł Karol — ja nim jestem. Upraszam was jak najmocniej, dajcie mi jak najprędzej sposobność zmycia choć w części tej winy mojej.

Gospodarz milczał czas niejaki. Patrzał z uwagą na Karola, którego twarz pałała dziwnym wyrazem.

— Szymon — rzekł po chwili — opowiedział mi całą waszą historyę, i zapewne opowiedział wam naszą...

— Tak jest, wiem o wszystkiem — odparł Karol — i uważam to za istną łaskę nieba...

— Ale czy nie braknie ci odwagi?

— Nie mam innej drogi do wyboru.

— Więc słuchaj: Przed kilkoma miesiącami wzięto kilku z pośród nas... Badania sądowe odbywają się, potrzeba przeciąć całe badanie, jeźli się kto poświęci i rzecz całą weźmie na siebie.

— Biorę wszystko na siebie — odparł z radością Karol.

Gospodarz patrzał czas niejaki na niego. Podając mu rękę, ścisnął go serdecznie i rzekł:

— Więc dobrze, wierzymy wam.

Po chwili wyjął ze szafki flaszeczkę, kawałek sera i chleb.

— Teraz pożywcie się trochę, a ja tymczasem spiszę tu wam, co bierzecie na siebie.

Szymon z Karolem wzięli się do przekąski, a gospodarz siadł do pisania.

Po godzinie wstał, wziął arkusz papieru i rzekł:

— Przeczytajcie to wszystko dobrze. Za kilka dni przyjdą do was i wezmą was. Zeznanie macie gotowe.

Twarz Karola rozpromieniła się radością. Tak szczęśliwym już dawno niebył.

Nad ranem pożegnali się. Za kilka dni siedział Karol w cytadeli!

Po mieście gruchnęła wieść o tem. Biedny Karol spodziewał się teraz rehabilitacyi.

Różnie mówili ludzie o tym wypadku. Ale opinia publiczna nie dała się i tą ofiarą przebłagać. Nietylko, że nie cofnęła wydanego sądu swego, ale zaostrzyła jeszcze swój wyrok.

Utrzymywano powszechnie, że Karol dał się umyślnie zamknąć jako szpieg więzienny.

Straszna, nieubłagana i okrutnie logiczna jest nawet w fałszywych wyrokach swoich ta opinia publiczna!

XXXIX.

Trzy lała upłynęły od tego zdarzenia.

Jadwiga przecierpiała przez ten czas cały wiek cierpień. Zaraz w pierwszych dniach tej smutnej katastrofy została matka tknięta paraliżem. Jadwiga sprowadziła z Litwy ciotkę swoją i obie pielęgnowały biedną kalekę.

Po trzech latach bezsennych nocy i dni kłopotliwych anioł śmierci przymknął biednej kalece powieki i uspokoił jej serce na wieki.

Po odbytym pogrzebie siedziały obie zapłakane, milczące jak posągi, nie wiedząc co począć, gdzie się udać. Przed chwilą wyczerpały różne plany, ale na żaden nie zgodziły się.

Nad wieczorem przyszedł do nich jakiś nieznajomy i wręczył im list.

Jadwiga chwyciła za list i krzyknęła. Był to list od brata.

Był to drugi jego list z Sybiru.

Obie kobiéty wypłakały się naprzód, ucałowały list i zaczęły czytać. List tak się zaczynał.

— „Dziwną wiadomość odbierzesz dzisiaj odemnie, kochana siostro. Od roku przeniesiono mnie daleko na wschód, już blizko granicy chińskiej. Jesteśmy tutaj za nadto rozstrzeleni, i z trudnością jest nam spotkać się z drugim dla niezmiernych przestrzeni.

W kilka miesięcy po mojem przybyciu zebrało się nas

kilku. Mówiliśmy o różnych losach naszych. Jeden z nas ozwał się wtedy w ten sposób:

„Mój Boże! Piszą tyle i mówią o Sybirze, a przecież wszystko to nie maluje nas dostatecznie. Świat mniej więcej wie, jakie są losy skazańca sybirskiego. Wiedzą, co to jest podróż etapami, jaka jest nasza strawa i odzież. Wiedzą, co każdy więzień w takim razie wycierpi. Słowem wiedzą o ogólnych fizycznych więcej cierpieniach skazańca. Ale jednej rzeczy nie wiedzą. Nie wiedzą, że każdy prawie skazaniec ma w piersi swojej jakąś tajemnicę, że z tą tajemnicą żyje tu w tych niezmiernych przestrzeniach bez echa! Nie wiedzą, że każdy z nas to powieść... Niedawno natrafiłem na towarzysza dziwnych jakichś tajemnic. Jest to człowiek w młodym jeszcze wieku, z przyjemną twarzą, Jest ustawicznie milczący i ponury. Ma mały obrazek, wyobrażający kobiétę, i całemi godzinami w niego się wpatruje. Mówi dosyć rozsądnie i nie widać, żeby mu coś w głowie brakowało. Dwa razy tylko na dzień dziwaczy. Przy wschodzie słońca i zachodzie. Wtedy wychodzi na czyste pole i donośnym głosem wymawia słowo „szpieg". Potem nasłuchując spuszcza głowę i smutny wraca do domu mówiąc do towarzyszy: żadnego echa! Ciekawy byłem, coby to wszystko znaczyło, i zapytałem go raz o to. Nic mi na to nie odpowiedział, tylko o zachodzie słońca przyszedł do mnie, wziął za rękę i wyprowadził na otwarte pole.

— Teraz słuchaj dobrze — rzekł do mnie — a po chwili przeciągłym głosem zawołał: Szpieg!

— Czy słyszałeś echo tego słowa? — zapytał po chwili.

— Nie słyszałem — odpowiedziałem — bo tu najprzód echa nie ma, a potem słowo tak krótkie...

Roześmiał się na to mój towarzysz i rzekł:

— Nie mój bracie. Ja od dwóch lat szukam echa tego słowa, ale tu go nie ma. Ono zostało nad Wisłą... Tam powtarza się na godzinę stokrotnie... Nadaremnie wyszedłem na Sybir z tem słowem, ale cóż, echo jego tam nad Wisłą zostało... Słuchaj jeszcze raz... nie ma echa!"

Zaciekawiło mnie to opowiadanie mego towarzysza. Przy sposobności dotarłem do tego nieszczęśliwego... i czy zgadniesz kogo obaczyłem? — Karola!

Popłakaliśmy się razem i uściskali. Przedewszystkiem zaklinam cię Jadwigo na pamięć matki, on jest niewinny. Popełnił wprawdzie błąd w słabości swojej, ale gorzko odpokutował go. Ma przy sobie twój portrecik..."

Dalej nie mogła Jadwiga doczytać. Ręce jej zadrzały, na twarz wystąpił silny rumieniec... Po chwili puściły się jej łzy... rzuciła się na pierś ciotki i zawołała dziwnym głosem:

— Pojadę... pojadę na Sybir do mego... brata!

Kilka dni siedziały i rozmawiały obie kobiéty. Ciotka słuchała z wielką uwagą zwierzeń Jadwigi.

Za parę miesięcy, po dopełnieniu różnych formalności wyjechały obie daleko na wschód...

Gdy przebyły wyżyny Uralu, zamknął się za niemi prąd powietrza i oddzielił je od atmosfery Europy. Weszły do krainy wiecznej tajemnicy, i tajemnica nieprzebita zakryła dalsze szlaki ich żywota...

Czy Karolowi przywiozły to straszne nad brzegami Wisły zostawione echo tego szkaradnego słowa?!...

K O N I E C.

K R O N I K A.

Ze świata.

Dnia 5. maja 1869.

Co słychać? Tak potrzebujemy czemś odżyć, czemś się pocieszyć, nabrać jakiejś do życia ochoty, że nigdy może nie obijało się tak często o uszy nasze pytanie — co słychać? I nigdy też trudniej nie było odpowiedzieć na nie. Bo po cóż odpowiedzią i westchnieniem jej towarzyszącem zwiększać i tak już przesadzoną dozę materyałów do czarnych myśli — niech Bóg uchowa zaczepić coś de publicis — same byśmy narzekania powtarzać musieli... Chcąc się pocieszyć, trzeba spojrzeć na te sfery spokoju i pszczolej pracy ula naszego, w których jest jeszcze trochę niestrutego życia. Nie wszystko u nas jest dobre, ale niezaprzeczenie, jak na te ciężkie czasy, dobrego jest wiele. Wśród tłumu są ludzie czyści, wśród konających są żywi, wśród zestarzałych są na duchu młodzi, co nie stracili w przyszłość nadziei. Ale tych szukać potrzeba w sferach spokoju, w templa serena poety, kędy wrzawa kuchni życia nie dochodzi — tam my czerpać będziemy tę odrobinę wiadomostek, którą odpowiemy na wiecznie powtarzające się pytanie: Co słychać?

Najprzód tedy w świecie, który obchodzi język, literatura, dzieje, najdroższy spadek nasz... nie mówią o niczem, tylko o krakowskiej katedrze historyi. Wszyscy pytają, kto ją zasiędzie, czyj głos ma świętą i piękną, smutną i ciemną, tragiczną historyę naszą tłumaczyć? Zadanie wielkie, bo od tego zależy kierunek studjów, pojęć, zapatrywania się młodzieży, pojęcie przez nią tradycyi i obowiązków. Tymczasowo szereg uczonych, którym opinia publiczna powierza katedrę... ogromny. Czy mamy aż tylu historyków w całem wyrazu tego znaczeniu? ja nie wiem. Ale czytam i słyszę... W. A. Maciejowski... zmiłujcie się tak stary! A. Bielowski... to mu przeszkodzi do ukończenia monumentów. Alex. Przezdziecki... a! niechże nam

wyda wprzódy Długosza... on ma swe posłannictwo wyszukiwania zatraconych skarbów. J. Szujski—niech dojrzeje! Jul. Bartoszewicz... czemu nie, byle ze szperacza chciał się stać dziejopisem. Szmitt... zapewne, ale czy się przgotował do pojęcia początku tak jak zna koniec Polski. Jul. Klaczko? jest może nadto artystą, ażeby był surowym historykiem. W. Kalinka? wszak nosi już suknię zakonną... K. Jarochowski? nie zechce opuścić Poznania. Karol Hoffmann, nie sposobił się na profesora mimo wielkich zalet jako badacz... Kaź. Stadnicki... jest troskliwym przygotowawcą materyału... St. Koźmian... prędzej do dziejów literatury. Dr. Nehring, potrzebny jest we Wrocławiu. Dr. Liske... mało choć zaszczytnie znany... L. Wegner, zasłużony, lecz czy zechce? Dr. Kętrzyński, B. Kalicki... Słyszę jeszcze imiona i imiona bez końca... a koniec końców to dowodzi podobno tylko, że nie ma kogo na katedrze osadzić; kogoś, któregoby głos powszechny jako elekta narodu okrzyknął... Hic est! Takiego, by wtórując wyborcom mogła Akademia jak niegdy prymas ukoronować i podać mu biret i rzec: Idź a mów i nauczaj.

A zatem czy się to skończy konkursem, czy oktrojowaniem katedry... nie wiemy. Za to wszakże zaręczyć możemy, iż się ogół cały niezmiernie troszczy, wygląda, niepokoi, a zgryźliwi ludzie prorokują nawet... ale nie mówmy zawczasu.

Drugą rzeczą, o której mówią wiele w Prusach, w Poznańskiem, to owe Towarzystwo dla popierania interesów moralnych ludności polskiej, zawiązujące się w Polsce pruskiej. Napisano już o niem wiele, czy się jednak uda określić zadanie stowarzyszenia, wyznaczyć mu drogi, pchnąć je w ruch... nadać siłę? Znowu nie wiemy. Starań jest wiele, życzenia najlepsze, a Poznańskie i Prusy powinny się były od Niemców nauczyć praktyki takich stowarzyszeń, której nam braknie...

Dalej mamy aż dwie wystawy sztuki w Galicyi, i niezmierny żal, że nie ma ani jednej w Poznańskiem. Dzienniki nam jeszcze nie przyniosły nic nad krótką wzmiankę o obu wystawach, które zapewne urosną powoli, bo dotąd są dosyć pono ubogie. Jednak krakowska ma portret Matejki... i Kraków ma nadzieję ujrzeć ten monumentalny obraz, który znakomity artysta poświęcił wspomnieniu wiekopomnej unii lubelskiej.

Będziemy ją obchodzili czy nie? To także pytanie drażniące, niepokojące wielu. Medal paryzki i obraz Matejki czy zostaną uznane za dostateczne, lub jeszcze nam mów i okrzyków będzie potrzeba?

A! gdybyśmy w ciszy a pracy święcić umieli wspomnienia i karmić nadzieje; myśmy trochę chorzy na potrzebę manifestacyi i rozgłosu. Ale—cicho! ma być obchód niech będzie — może w istocie jest potrzebnym... bo piękną ideę braterstwa podniesie...

Z nowości wszakże wszyscy już pewnie czytali Posłanie Goszczyńskiego. Są tam strofy natchnione i są dźwięki smutne... a w ogóle brzmi to w uszach nowego pokolenia jak głos zamogilny. Przecież piękny i melodyjny i rzewny czasem, a niekiedy aż krwawo łzawy.

Lenartowicza także poezji nowych czekamy, tymczasem ciesząc się powodzeniem jego jako rzeźbiarza. Samuelowa jego płaskorzeźba bardzo pochlebne zdania wywołuje we włoskich dziennikach. W istocie jest w tem coś oryginalnego, by we Florencyi polak jeden się znalazł tak przejęty sztuką odrodzenia, by się stał dobrowolnie uczniem Ghibertego, zamiast antyku. Nikomu z dzieci miasta kwiatów nie przyszło na myśl, że ta epoka może się powtórzyć i przedłużyć, że w tym stylu pracować można tam, gdzie się codzień nowe spotyka niebezpieczne porównania z wrotami Raju.

O Teofilo mio, tu non invano
Fai che un Dante, un Ghiberti, oggi riviva
Nell' opre tue del senno e della manno...
Tu solo, esule illustre, all' Arno in riva,
Tu all' immemore Europa e al secol vano
Basti a mostrar che la Polonia e viva.

Tak w swym sonecie do poety-rzeźbiarza odzywa się pan Ettore Mariucci... a u nas? u nas po troszę o wszystkich radziby zapomnieć wygnańcach. Dzieci ich porosły i nudno tak wiecznie słuchać imion jednych... choć drugich... mało lub nie ma.

Dalej jeszcze słychać, że w Paryżu ma wychodzić przegląd francuzki naukowy przez młodzież naszą wydawany, a cichuteńko szepczą o dzienniku... którego tytułu jeszcze wam nie powiem... dla nas obiecującym się przyjaźnie... A kiedyśmy o dziennikarstwo zaczepili przypadkiem — wszak i o losy Kraju dowiadują się wszyscy pilno? czy go stary Saturn-Chronos nie zjadł na śniadanie, ku czemu nie zmyślony okazywać się zdawał apetyt?... Nie było oddawna takiego pomorku na czasopisma jak tego roku... starsze przetrwały epidemię tę, ale niemowlęta popadały jak muchy! Ta cholera morbus szczególniej w Galicyi panowała... chociaż tam statystyka nie wykazuje zbytku pism, ani zbytku czytelników. Są ludzie, którzy natomiast rywala obiecują Dziennikowi poznańskiemu, byle się znalazł redaktor, współpracownicy, i gronko ludzi namaszczonych... Zdawałoby się, że o nic łatwiej, jak o to, bo u nas każdy się rodzi z piórem dziennikarskiem za uchem, a kto kiedykolwiek dziesięć wierszy wydrukował, pewien jest, że podoła zwycięzko redaktorstwu. Niestety! redaktorowie i dziennikarze się rodzą... pisarze rosną i wyrabiają się, żurnalista musi z sobą na świat przynieść dar... temperament, łatwość pracy, poczucie ducha społecznego i mnóstwo innych przymiotów, które się kulturą i trudem nawet nabyć nie dają. Dla tego u nas wiele pism jest wybornych... tylko im brak tego, żeby miały oprócz peryodycznego tytułu — ducha peryodycznego... cechę potrzebną, nieodbitą... konieczną... tych ofiarnych efemeryd, które żyją ce que vivent les roses, i powinny mieć kolce róży, zapach róży, blask róży rozkwitłej — czego wszystkim dziennikom życząc, na dziś zamykamy naszą kroniczkę. — Bzy kwitną i nad stołem usiedzieć nie podobna.

J. I. Kraszewski.

(Sekta Skopców w Moskwie). Nadzwyczajne zajęcie obudza teraz w całej Europie proces tak zwanej religijno-politycznej sekty Skopców, której organizacyę i tajemne cele odkryto niedawno w Moskwie; i przeto uważamy za rzecz potrzebną, zapoznać z nią bliżej także czytelników naszych. Na wstępie zaś powiemy tyle tylko, że podobna monstrualna sekta mogła zaprawdę wylęgnąć się tylko w tak zgniłem społeczeństwie, jak moskiewskie, i że przeto w naturalnej konsekwencyi nosi ona też na sobie wszystkie cechy tej zgnilizny. Jej arty-

kuły wiary zasadzają się na praktykowanem w całej Moskwie barbarzyństwie; jej bóstwa nie sięgają wyżej nad ideał caratu, a jej cele są kubek w kubek takie same, jak całej Moskwy, mianowicie obalenie wszelkich praw boskich i ludzkich. A teraz przystąpmy do rzeczy:

Sekta Skopców powołuje się, jak wszystkie jej rówienniee, na biblię, i naturalnie — jak każda z nich — uważa się za jedynie prawowierną. Dla niej jest prawidłem wiersz 12. w rozdz. 19. apostoła Mateusza, i ztąd utrzymuje ona, iż stoi na gruncie pisma świętego. Zdaniem Skopców jest przyczyną wszelkich nieszczęść ludzkości małżeństwo; ażeby więc uczynić je niepodobnem, dopuszczają się członkowie tej sekty sami na sobie rozmyślnego kalectwa. Kalectwo to jest dwojakiego rodzaju, albo częściowe tylko albo też radykalne, w miarę tego, czy który z członków pragnie osiągnąć niższy lub wyższy stopień świętości. Także kobiéty poddają się wszelkim, możliwym formom tego kalectwa; lecz zdaje się, że usunięcie piersi uważane jest za środek najradykalniejszy. To jest kardynalny artykuł wiary, który obowiązuje każdego członka sekty bez wyjątku, a dokądby mógł doprowadzić ludzkość, tego wskazywać nie potrzebujemy.

Drugim, nie mniej wzniosłym artykułem wiary Skopców jest ten, że ich Messyasz pojawił się już po raz drugi i ostatni, a jest nim car Piotr III., który pod imieniem Szeliwanowa był męczony i posłany na Sybir. Powołany ztamtąd napowrót, musiał znosić nowe prześladowania i męki, z których go jednak wyratowała wierność i gorliwość jego wyznawców. Przeżywszy potem długie lata w charakterze „Zbawiciela“ pomiędzy swoimi zwolennikami, posłany został do Susdalu. Ztamtąd udał się jednak do Syberyi, gdzie w okolicy Irkucka pozostawać będzie w ukryciu aż do chwili sądu. Wtedy przybędzie w całym swoim blasku i majestacie, uderzy w wielki dzwon w katedrze Uspeńskiej, zgromadzi wiernych około siebie, zagarnie tron i odprawi w Petersburgu sąd ostateczny. Od tego czasu będzie świat odkupionym, gdyż wszyscy ludzie staną się wtedy Skopcami, wszelki grzech ustanie, i ziemia będzie rajem, jak przed upadkiem pierwszego człowieka. Ludzie nie będą już umierać, lecz żyć będą wiecznie w stanie szczęśliwości.

Tak głoszą Skopce. Tymczasem faktem jest historycznym, że pewien fanatyczny Skopiec, chłop Kondratij Szeliwanow, ze wsi Stolbowo w gubernii Orelskiej, za udowodnioną propagandę sekciarską we wsi Sosnówce (w gubernii Tombowskiej), widowni swojego apostolstwa, ukarany został knutem i wysłany na Sybir. Tego Szeliwanowa uważali Skopce za prawdziwego Piotra III. Pewien uwolniony z Sybiru kupiec moskiewski, należący do sekty Skopców, który zwał się Massonowem, a właściwie miał nazwisko „Kolesnikow“, i poznał Szeliwanowa a raczej Piotra III. w Syberyi, uwiadomił cara Pawła, że ojciec jego żyje jeszcze w Syberyi pod imieniem Szeliwanowa. Car kazał istotnie sprowadzić tego Szeliwanowa do Petersburga, ale przekonawszy się, że to oszustwo, wsadził go do domu szalonych. Ztąd dostał on się w r. 1802 na rozkaz cara Aleksandra I. do domu ubogich w monasterze Smolneńskim. Za staraniem i ofiarami pieniężnemi Skopców petersburgskich został jednak uwolniony także z domu ubogich, i żyjąc odtąd w domach zamożnych, do sekty należących kupców: Nenastiewa, Kostrowa i Sołodownikowa jako Messyasz Skopców, doznawał od nich czci prawdziwie boskiej. Tak trwało do roku 1820, gdy sekta jego, zacząwszy występować zanadto śmiało, ściągnęła na siebie podejrzenie i śledztwo, które skończyło się na tem, że Szeliwanow wysłany został do monasteru w Susdalu, gdzie wkrótce po przybyciu swojem umarł.

Obok mniemanego Messyasza jest także mniemany Jan święty, chłop Szilow ze wsi Masłowa (w gubernni Tulskiej) przedmiotem szczególnego uwielbienia u Skopców. Upatrują oni w jego osobie księcia Daszkowa, towarzysza Piotra III. Za panowania carowej Katarzyny więziony był Szilow w fortecach w Dynaburgu i w Rydze, ale zapewne nie tylko za samo kacerstwo, gdyż przy wstąpieniu cara Pawła na tron nie został ułaskawiony, jak inni uwięzieni kacerze, lecz wysłano go do Schlüsselburga, gdzie umarł w roku 1799. Pochowano go u stóp góry Preobrażeńskiej, i grób jego stał się przedmiotem powszechnej czci. Kilkakrotnie też musiano spełniać na nim urzędowy akt przyłożenia pieczęci cesarskiej.

Nie zbywa też tej sekcie i na żeńskich znakomitościach, zaliczanych w poczet świętych. Tak między innemi czczoną jest do dziś dnia jako wieszczka Skopców niejaka Anna Safonówna, córka Safona Popowa, jednego z pierwszych zwolenników skopczyzny, która jeszcze w roku 1844 żyła w Morszańsku, licząc wtedy 90 lat wieku. Ale większe jeszcze znaczenie ma u Skopców niejaka Akulina Iwanówna, którą mianują Matką boską i uważają za prawdziwą carowę Elżbietę Petrównę. Historyczne podania o tej osobistości są niepewne. Zapewne jest to ta sama, o której jest mowa w rozkazie św. synodu z 7. sierpnia 1734, a gdzie powiedziano, że do rzędu osób, skazanych w r. 1733 przez tajną kancelaryę, należała także Akulina Iwanówna, którą karano knutem i wysłano na Sybir.

Taką tedy jest owa sekta Skopców, której proces toczy się obecnie w Moskwie. Rząd zaniepokojony licznemi denuncyacyami o jej knowaniach, nakazał śledztwo i poruczył przeprowadzenie jego osobnej komisyi. I oto co donoszą o dotychczasowym rezultacie tego śledztwa:

W Morszańsku, w guberni Tambowskiej, uwięziony został kupiec pierwszej gildy i milioner, Maxym Kuźmin Płotyczyn, który ma być głową sekty Skopców w całej Moskwie. W domu jego znaleziono dziewięć okaleczonych niewiast, i oprawione w złote ramy wizerunki świętych Skopców, jako to: Szeliwanowa Piotra III., Szilowa, i Matki Boskiej Akuliny Iwanównej. Z tych portretów zdjęto fotograficzne kopie i posłano do Petersburga. Oprócz tego znaleziono w domu Płotyczyna w jednym ze składów towarowych kilka skrzyń pełnych złota i srebra, których wartość szacują na miljony; nadto znalazło się w nich kilka milionów w biletach bankowych. Suma całego kapitału nie jest jeszcze wiadoma, ale powiadają, że samych biletów bankowych było 100 sztuk po 100.000 rubli razem więc 10 milionów rubli. Jakiż to nieoceniony połów dla czynowników moskiewskich! Wszystkie te pieniądze i skarby stanowią kapitał moskiewskiej gminy Skopców, a któż wie, czy nie istnieją inne jeszcze. Na wszelki sposób jestto kapitał uorganizowany, za pomocą którego Skopce nieraz już wiązali ręce rządowi, a zapewne zwiążą i teraz także.

Po takiem odkryciu łatwo się domyśleć, jak gorliwie musi komisya i w ogóle rząd moskiewski zajmować się tą sprawą. Dom Płotyczyna obstawiono strażą, papiery i korespondencye jego ze Skopcami sybirskimi i petersburgskimi skonfiskowano, a nawet wyśledzono już, że znany milioner, petersburgski Skopiec Jermołaj Jegorow Tretiakow, jest zawikłany w tej sprawie, i o mało nie został aresztowany w Morszańsku.

Sprawa ta zrobiła naturalnie wielkie wrażenie w najwyższych kołach rządowych. Wszak tu chodzi o miljony, a wieść niesie, że Skopcy przechowują te stosy złota dla „nowego państwa", które ma obalić w Moskwie istniejący porządek rzeczy i rozpocząć nową erę Skopców. Takie corpus delicti potrzeba więc skonfiskować, i dla większego bezpieczeństwa wysłano aż z najwyższej sfery rządowej męża zaufania do Morszańska, który jest Jerozolimą Skopców i siedzibą najsławniejszych dygnitarzy tej sekty. Wszystkich też prawie uwięziono już, i jeźli wyjdą cali z tej sprawy, to pewno nie zobaczą już nigdy swoich milionów.

W końcu musimy wspomnąć jeszcze o najkomiczniejszej stronie tej sprawy. Oto jak we wszystkiem, co tylko wymierzone jest przeciw caratowi, tak i w działaniach Skopczyzny upatrują Moskale wpływ Polaków, i chcą wmówić w świat, że Skopce morszańscy zostawali w związku z jakąś polską partyą rewolucyjną, na której czele ma stać niejaki Oksza (Orzechowski) w Konstantynopolu, a która ma zamiar uorganizować powstanie Skopców za pomocą emissaryuszów, wysłanych do kilku gubernii moskiewskich. „Na złodzieju czapka gore," mówi przysłowie, a prawdę tę najlepiej dziś potwierdza Moskwa.

(Egipski parlamentaryzm). Jak wiadomo, obdarzył wicekról Egiptu przed dwoma laty swoich poddanych rodzajem konstytucyi połączonej z izbą prawodawczą, która pod względem lojalności nie ma zaprawdę równej sobie na całej kuli ziemskiej. Oto co opowiada o niej sławny turysta Rohlfs w najnowszem dziele swojem o wyprawie do Egiptu: Gdy wicekról przed dwoma laty otwierał pierwsze zgromadzenie deputowanych, oznajmiono poprzód deputowanym, że izba musi się dzielić na prawicę, lewicę i centrum, że prawica ma zawsze głosować z rządem, lewica przeciw rządowi, a centrum naprzemian za i przeciw. Tous comme chez nous! Gdy tedy Jego Kr. Mość dla otwarcia parlamentu miał udać się z ministrami do sali posiedzeń, usłyszano okropną wrzawę i zgiełk w sali. Z największą ostrożnością otworzyli ministrowie drzwi i posłano naprzód eunucha, aby dowiedział się co to znaczy. Wicekról myślał już może o rewolucyi lipcowej lub lutowej, jeżeli w ogóle ma jakie wyobrażenie o nich. Ależ — o dziwo! Eunuch dowiaduje się ze zdumieniem, że najprzód powstała kłótnia o to, kto ma siedzieć po prawej stronie, gdyż wszyscy deputowani chcieli należeć do prawicy, a ztąd wywiązała się potem zacięta bójka, która trwa dotąd. Wicekról nie mógł więc tego dnia zagaić posiedzenia, gdyż większa część deputowanych albo miała porozbijane głowy, albo postradała wąsy, a nadto połamane zostały prawie wszystkie krzesła, gdyż zapaśnicy dla braku innej broni walczyli nogami od stołków.

Mniejsza o łby i stołki — ale lojalność odniosła tryumf. Czegożby nie dał za taki parlament dzisiejszy gabinet przedlitawski!

(Nic nowego pod słońcem). Sławni bracia siamscy Czang i Eng, którzy dla poratowania nadwątlonych finansów swoich odbywają znowu podróż po Europie, znajdują się teraz w Londynie. I właśnie gdy cały świat tamtejszy zajęty jest tą osobliwością, a najsławniejsi chirurgowie angielscy naradzają się, czy nie możnaby zrośniętych braci rozłączyć, przypomina jeden z dzienników londyńskich, że już dawniej, przed siedmiuset laty, istniała taka para „bliźniąt siamskich", i to w samej Anglii w Biddenden, pięknej wiosce hrabstwa Kent. Były to bliźnięta żeńskie, imieniem Eliza i Mary Chulkhurst, a zwyczajnie zwane „Dziewczętami Biddendeńskiemi", jak lud w tej okolicy do dziś dnia opowiada, i zrośnięte były ze sobą nietylko biodrami, ale także ramionami. Każda miała tylko jedną rękę, a dwie drugie, t. j. lewa jednej i prawa drugiej stanowiły rodzaj kikcia łączącego obadwa ciała. W tym stanie miały one podług podania miejscowego żyć razem do trzydziestu czterech lat, aż jedna z nich zachorowała i umarła.

Chirurgia była wówczas na bardzo nizkim jeszcze stopniu, a przecież radzono pozostałej przy życiu, ażeby dała się sztucznie odłączyć od ciała zmarłej siostry. Oparła się jednak stanowczo temu rozłączeniu; „przyszłyśmy razem na świat" — mówiła — „to zginiemy też razem"; i istotnie w sześć godzin po śmierci jednej siostry zachorowała także druga i umarła wkrótce. Majątek swój, dość znaczny na owe czasy, zapisały one gminie miejscowej, i na pamiątkę tej fundacyi i cudownego zjawiska tego pieką co roku w Biddenden tysiące małych biszkoktów, na których wyciśnięty jest w płaskorzeźbie portret „Dziewcząt Biddendeńskich", i te pierniczki rozdają zwykle w pierwszy dzień Wielkanocy po nieszporach obecnym w Biddenden gościom.

Tym sposobem maleje znacznie sława braci siamskich, i okazuje się słusznem to zdanie, że nie ma nic nowego pod słońcem.

(Przymioty redaktora amerykańskiego). Ekscentryczność amerykańska przechodzi już wprawdzie wszelkie granice, ale przytem wszystkiem ma ona także stronę prawdziwie humorystyczną. Oto nowy przykład: Jeden z dzienników amerykańskich poszukuje dla siebie współpracownika następującym publicznem ogłoszeniem: „Poszukujemy męża silnej budowy muszkularnej, któryby się niczego nie lękał, a mianowicie nie wzdrygałby się zadawać i odbierać ciosy nożem. Przytem musiałby on sam postarać się o konia, rewolwer i nóż Bowiego." Taką kwalifikacyę ma posiadać redaktor amerykański; jakiemże być musi społeczeństwo tamtejsze? U nas Bogu dzięki nie przyszło jeszcze do tego, ale przecież przydałaby się bardzo — zimna krew naszym dziennikarzom.

(Karol Darwin). Wielki ten mąż i badacz natury, którego odkrycie niezmiernej doniosłości sprawiło formalną rewolucyę w świecie naukowym, skończył 12. lutego sześćdziesiąty pierwszy rok wieku. Podczas gdy każdy człowiek myślący ma imię jego na ustach, a cały świat cywilizowany stacza zacięte walki za postawionym przez niego systemem lub przeciw niemu, żyje on samotnie i spokojnie w swojej wsi Down-Broeky w hrabstwie Kent. Tam też zapewne musiały go szukać zdala i zblizka liczne hołdy, składane zwyczajnie wielkim ludziom w dniu ich urodzin. Dotychczasowe życie Darwina było jak wszy-

stkich wielkich badaczy na pozór bardzo spokojne. Wprawdzie jako młodzieniec jeszcze odbył on sławną żeglugę około świata na okręcie „Beagle“ w latach 1832 — 37, i zebrał wtedy wiele bezpośrednich spostrzeżeń i wiadomości. Ale potem przez dwadzieścia lat prawie badał gorliwie w cichości, uczył się i porównywał, nim wystąpił ze sławnem dziełem swojem „O powstaniu rodzajów“, które stanowi epokę w dziedzinie nauk przyrodniczych. Wypada też przypuszczać, że każdy człowiek wykształcony słyszał już o Darwinie i starał się przynajmniej pobieżnie zapoznać z jego systemem.

(Czego miłość nie dokaże?) Frére-Orban, dzisiejszy minister belgijski, jest synem biednego odźwiernego, który się nazywał Frére. Obecny mąż stanu już skończył szkoły, i miał zdawać tak zwane rigorosum, gdy pokochał piękną i dobrą panienkę, córkę jednej z najbogatszych rodzin w Brukseli, i postanowił prosić rodziców o jej rękę. Odmówiono mu jej, ale kochanka rzekła:

— Dzisiaj masz zdawać egzamin; jeżeli go zdasz, o czem zresztą nie wątpię, przyjdź do teatru i każ sobie otworzyć lożę moich rodziców. Za miesiąc będę pańską żoną.

— A rodzice?

— Zaufaj mi pan i zrób co ci radzę.

Tego samego wieczora teatr był przepełniony widzami, kiedy p. Frére wszedł do loży swej ukochanej, która nie namyślając się i chwili, rzuciła się nowemu adwokatowi w objęcia.

W miesiąc potem p. Frére ożenił się z panną Orban, i przybrał nazwisko Frére-Orban.

REBUS.



Znaczenie rebusu w V. zeszycie „Strzechy“:
Zanim słońce zejdzie, rosa oczy wyjé.

ZAPISKI Z BIBLIOGRAFII POLSKIEJ
Z ROKU 1868—69.

Kinkel G. Polens Auferstehung die Stärke Deutschlands. Wien 1868.
Gałęzowski X. Du diagnosie des maladies des yeux etc. Paris 1868.
Pamiętniki Cezara o wojnie Gallickiej. Lwów 1868.
Chotomski. O mechanizmie zapisów kupieckich. Poznań 1868.
Haza W. List otwarty do dziennika pozn. Poznań 1868.
Ustawy zasadnicze państwa austr. Wiedeń 1868.
Kraszewski. O pracy. (Bibl. lud.) Poznań 1868.
Anczyc W. Abecadlnik historyczny. Kraków 1869.
„ Praca. Książeczka obrazkowa dla dzieci. Warszawa 1869.
Jak Austrya ocalić się może. Drezno 1868.
Mały Atlas dla dzieci. Warszawa 1868.
Ajo (Rogosz). Niby żarty niby prawdy. Lwów 1869.
Brandowski A. Wykład budowy wierszów Owidego, Wirgiliusza i Horacego. Kraków 1868.
Brandowski. O pomysłach lechickich Bielowskiego pod względem filolog. Kraków 1868.
Bronikowski A. Xenofonta wspomnienie o Sokratesie. Ostrów 1868.
Bojarski. O sądach przysięgłych Kraków 1868.
Bełza W. Pieśni liryczne. Warszawa 1868.
„ Abecadlnik w wierszykach. Kraków 1869.
„ Zamek Grojecki. Kraków 1869.
Baraniecki M. A. O rozprawie: Sposób mnożenia funkcyi sym. itd Warszawa 1868.
Baraniecki M. A. Wywód pojęcia funkcyi matem. Warszawa 1868.
Biblioteka ludowa. Tomy 1. 2. 3. Pozań 1869.
Beynnknen. Eine Künstschöpfung in Lithauen.
Chevalier M. Wpływ swobód ekonom. na postęp społeczeństwa (tł. Czarnowski.) Warszawa 1868.
Chłędowski K. O kredycie rolniczym. Kraków 1868.
Chaignon X. Rozmyślania dla kapłanów. Warszawa 1868.
Czarnogóra pod względem geogr. stat. i hist. K. P. Lwów 1869.
Czytelnia dla ludu: Stelmasiewicz Piotr Karaś. Kraków 1869.

SZARADA.

Pierwsze litera, a drugę i czwartę
Jeźli chcesz poznać, patrz na Niemiec kartę,
To znajdziesz miasto bardzo starodawne,
Swoją wszechnicą na cały świat sławne.
Wstąpiwszy na tron — pierwsze, drugie, czwarte
W gorący Sybir zmienił cesarz Bonaparte.
Pierwsza zaś i trzecia, gdy złączone stoją —
Człek prawy się wzdryga, zbrodniarze się boją.
Wszystko imię kobiéty znaczy;
Zgadnie, kto pomyśleć raczy.

Znaczenie szarady w V. zeszycie „Strzechy“: *Gorset.*

Poczta «Strzechy».

Wpani *Fka. Kl.* Ofiarowane łaskawie szarady są dobre i będą użyte. — Wpanu *K. D. w Ssi...* Dziękujemy za dobrą chęć, ale użyć nie możemy; rebusy za słabe i zanadto łatwe do odgadnięcia. — Wpanu *Kr. w Tarnowie:* Drugi tom „Biblioteki Narodowej“, obejmujący poezye T. Lenartowicza, jest już pod prasą.— Wpanu *E. G. w Uhnowie:* Rękopisma, których sami użyć nie możemy, oddaliśmy podług życzenia pana, ale dotąd nie odpowiedziano jeszcze; gdy będzie odpowiedź, napiszemy.

„Bezimiennej“ część II. p. tyt.: „Drugie życie“ jest już pod prasą i wyjdzie za kilka tygodni. Uprasza się przeto wszystkich Szanownych abonentów „Strzechy,“ którzy życzą sobie nabyć tę II. część po cenie zniżonej tylko dla abonentów „Strzechy“ na 2 złr. w. a., ażeby raczyli przesłać takową do księgarni podpisanego wydawcy.

F. H. RICHTER.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyę F. H. RICHTER.
Z DRUKARNI NARODOWEJ W. MANIECKIEGO